Rok XV. Warszawa. Lipiec—Sierpień. 1926.

PRĄD

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM RELIGIJNYM
NARODOWYM I SPOŁECZNYM.

WYCHODZI NA POCZĄTKU KAŻDEGO MIESIĄCA.

WARUNKI PRZEDPŁATY W POLSCE:	ROCZNIE	....	24 Zł.
„ „ „	PÓŁROCZNIE	...	12 „
„ „ „	KWARTALNIE	...	6 „
„ „ ZAGRANICĄ:	ROCZNIE	....	4 DOLARY.

REDAKCJA i ADMINISTACJA: Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście № 7, m. 15-a otwarte codziennie od 12—3 po poł. Tel. № 86-21. Konto czekowe w P. K. O. 43-80·

Zjazd katolicki.

Za dni kilka odbędzie się w Warszawie Zjazd Katolicki. Zjedzie się ta najwyższa reprezentacja katolików polskich, by wysunąć postulaty i zarządzić ich uwzględnienia. Bo groźne niebezpieczeństwa stoją przed Polską.

I chcemy tu, na marginesie zjazdu rzucić te uwagi, które się nasuwać muszą przy rozważaniu stanu naszego i naszej przyszłości, wielkich zadań i obowiązków, które na pokoleniu naszem legły, uświadomić je sobie jasno musimy, i dać im wyraz mocny w pracach tego, tak ważnego zjazdu.

Obradować będzie zjazd katolicki, by zorganizować pracę katolicką i pchnąć ją na tory rozwoju. Gdyż wiele zadań leży przed ruchem katolickim w Polsce, i nie są jednakie we wszystkich dzielnicach i wszystkich środowiskach. Bo jakże bogatą gamę stanowi katolickie życie w Polsce: oto Lublin, gdzie nowy duch zmaga się ze starym socjalizmem, zacierając dawne piętno grodu. Oto ziemie zachodnie tak mocne i tak zwarte w swej opinji, a obok cienie marazmu i obojętności w społeczeństwie, czy też indywidualistyczne życie religijne. W tej gamie trzeba się rozejrzeć,

wczuć w nią, by umiejętnie wskazać drogi naprawy braków i zła, by jednolity, o ile możności kierunek i ton wytworzyć w katolickiem życiu.

Ale nie tylko. Trzeba nam wchodzić do życia, przełamując niechęć, marazm i ospałość, trzeba iść pracować dla Narodu, by go Chrystusowi oddać. I jasno uświadomiwszy sobie obowiązki, przed żadną kampanją i przed żadną famą o politykomanji nie wolno się cofać. Bo jeśli ruch katolicki nie może wejść w podwórko jednego stronnictwa, to nie może być też obcym i dalekim od potrzeb narodu i jego życia. Z Bogiem iść musi i z Narodem.

A dziś na tem właśnie polu narodowego życia grozi największe niebezpieczeństwo. Oto czynniki, które mają władzę, prą do zrobienia wyłomu w prawach katolików — chcą wprowadzenia ślubów cywilnych. Narazie, dzięki stanowisku społeczeństwa, sprawę odłożono, ale wytrwała praca wrogów katolickiej Polski wciąż trwa, i nim wejdzie na stół sprawa małżeństw, my katolicy, przed niejedną szykaną i niejednem ograniczeniem praw Kościoła staniemy. Z tą wojną podjazdową liczyć się musimy. Dlatego większej, niż kiedykolwiek, trzeba nam czujności i pracy. Bo najlepszą obroną jest nacisk. Tak wiele praw katolików nie jest uwzględnionych — w szkolnictwie wszystkich stopni, czy w życiu, czy w Państwie. Dziś jest czas żądań, bo dziś się rozpoczyna walna bitwa o katolicką Polskę, a wejście sprawy ślubów cywilnych — to tylko jej najważniejszy, decydujący moment. O tem zapominać nie można.

I pod tym też kątem widzenia pracować zjazd musi, a po zjeździe pójść winna katolicka praca. Musi się stać celowem, do sił i warunków przystosowanem, gotowaniem się do walki — walki bezwzględnej i bez pardonu — o katolicyzm, o prawa Chrystusa w Polsce.

Tu na plan pierwszy, stanąć winno wychowanie młodzieży. Trzeba gotować te kadry, które później, do katolickiej pracy przyjść muszą. Trzeba młodzież wyrwać ze szponów niepożądanych opiekunów w mundurach, czy bez, którzy pod pozorami i płaszczykami różnego kroju i barwy, idą truć dusze i czynić z młodzieży narzędzie wrogie Kościołowi. My katolicy, bronić musimy naszego stanu posiadania w tak dziś zagrożonej Wielkopolsce, i do ataku przejść w innych dzielnicach. Musimy młodzież zdobyć, i to młodzież wsi i miasteczek, uniwersytetów, czy szkół. Drogi pracy naszej są wytknięte przez doświadczenie, Zjazd dać winien impuls i wskazać społeczeństwu drogi jego czynu.

Ale na tem nie wolno się zatrzymywać. Trzeba gotować już dziś te elity, któreby się stały ośrodkiem walki o prawa Kościoła i umiały

pokierować społeczeństwem. Rozbici katolicy są tylko pośmiewiskiem. Pod hasłami chrześcijańsko-społecznemi, które są żywym wyrazem tego, co Kościół dla ludzkości uczynić pragnie, skupiać się winni ludzie wszystkich stanów. Nie w pracy politycznej: musi się znaleść ta forma realna ruchu odrodzeniowego społeczeństwa, któraby poza polityką umiała skupiać elity w pracy społecznej, pod hasłami kształcenia się i pogłębiania katolicyzmu, szła do pracy chrześcijańsko-społecznej i naukę Kościoła urzeczywistniała. Jak nie może ona być narzędziem polityki, tak nie może się zamykać w stanach i warstwach. Bo tylko z żywego obcowania inteligenta z mieszczaninem, kupca z robotnikiem i włościaninem w jednym ruchu i organizacji może powstać ta siła, która katolicyzm polski wyrwie z marazmu i pchnie na drogi czynu. Trzeba, by „elity" zerwały z wyłącznością stanową czy kulturalną czy wszelką inną i szły tworzyć elitę prawdziwą całego Narodu. Tam tylko, w kontakcie szczerym, nie z łaski, wszystkich warstw, leży źródło siły katolickiej w przyszłej walce o Polskę. I czas nam dziś na ofiary — z przesądów i wszelkiej kastowości.

Nie może być jednak praca nad wytworzeniem prawdziwej elity katolickiej w narodzie tylko cyzelowaniem dusz i umysłów. Musi też zaprawiać do walki i do czynu. Szerokie pole gospodarczo-społecznej pracy katolików leży ledwie rozpoczęte. Dziś już myśl katolicka pracować powinna nad tworzeniem nowych form, gdzie ich braknie, a całe społeczeństwo stanąć musi do rozbudowy tych organizacyj zawodowych i społecznych, które istnieją. Bo bez funduszów i gospodarczej organizacji żadna praca i walka się nie powiedzie. Ofiarność jednostek, to dziś tylko kropla w morzu. Musimy o tem myśleć. Tylko w organizacji zawodów i stanów leży to źródło potęgi materjalnej, bez której walka przyszła, nieunikniona będzie czemś nie wiele większem, od manifestowania i da capo — manifestowania. To za mało wobec stawek, które postawiono.

Musi też przyjść gruntowna w społeczeństwie katolickiem praca intelektualna. Jest w Polsce ośrodek jej, i to tak poważny — Uniwersytet Lubelski. Tam się powinny kierować i kupić wysiłki intelektualne katolików. Wysiłki nietylko gwoli nauki dla nauki, lecz te, zmierzające do celów realnych, osiągalnych: trzeba budować podstawy przyszłej Polski katolickiej. Bez pogłębienia intelektualnego nic w tej dziedzinie osiągnąć się nie da: pojęcie Polski katolickiej nadal czemś niejasnem będzie i niewyraźnem. Dziś przedwcześnie nawet je formułować — zbyt bowiem jest ono mało pogłębione. I tu zjazd katolicki ma wielkie zadania — wskazanie dróg. Bo musi się już wytwarzać pewna elita kierownicza, któraby umiała

pracę rozkładać na etapy, przez dziesiątki lat może gotować przyszłe sukcesy. Musi być praca celowa i konsekwentna. Bo z chwilą, gdy nam, katolikom, do rąk przyjdzie władza w Polsce, nie możemy jej źle użyć, albo niecelowo. Katolicką bowiem Polskę nie może zrealizować nikt inny, jak tylko my sami. Nie zapominajmy o tem. To przyszłość, może daleka. Ale już dziś trzeba rzucać pewne wytyczne pracy na długie lata, by później nie było wahań i zamętu. I raz wreszcie trzebaby przesądzić tem wytknięciem dróg, że nam, katolikom, nie wolno się zamykać tylko w życiu religijnem, tylko w kościele. W tych ramach trzeba rzucić drogi postępowania.

Tych zadań zapoznawać nie można, gdy się mówi o katolickim zjeździe, który wszak religijne sprawy na czoło wysuwać musi. Tak wiele zostaje nam do zrobienia, by zrównać się choćby z Zachodem. Drogi w tej dziedzinie mamy utarte, i po drogach tych kroczyć umiemy. I tylko energji, czynu nam braknie. Trzeba katolickie życie pogłębić, wytworzyć w społeczeństwie polskiem katolicyzm konsekwentny w każdym calu. Nie może się katolik odsuwać od manifestowania w codziennem życiu swego katolicyzmu. Te wielkie zadania *przeorania* całego społeczeństwa pod kątem katolicyzmu, który z Zachodu do nas płynie, musi się stać wielką troską Sejmu Katolików.

Rzuciliśmy garść uwag o zadaniach, które przed zjazdem stoją. Stać się on winien punktem wyjścia prac i wysiłków, i obrony tej sprawy pierwszej — małżeństw nierozerwalnych. Bo to jest ten jedyny punkt, gdzie bez zmian ustaw i konstytucji może jeszcze uderzyć wróg. To jest punkt w całem znaczeniu zagrożony — gdzieindziej są tylko miejsca atakowane. I raz jeszcze wracając do sprawy obrony, podkreślić musimy, że tylko nacisk i ofensywa, i podnoszenie śmielsze i głośniejsze, niż kiedykolwiek, słusznych żądań katolickich jest na czasie. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: wobec zorganizowanego i silniejszego, niż dawniej wroga stoi obóz katolicki, którego forpoczty są rozbite i osłabione. Nikt nas, prócz nas samych, bronić nie będzie. Musimy więc czynniki katolickie w skupieniu, jedności gromadzić do pracy nad gotowaniem sił do przyszłej, nieuniknionej walki. Bo jak dziś sprawy stoją — jest ona nieuniknioną. Si vis pacem — para bellum. Nas, katolików polskich na wytężoną, konsekwentną walkę o prawa nasze stać. I do tej pracy stanąć musimy na tym drugim Katolickim Zjeździe.

Polska w niewoli*).

I. *Wróg wobec Polski.*

W roku 1795 Prusy, Austrja i Rosja dokonały trzeciego rozbioru Polski. „Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów Bożych“. Krasiński ma słuszność: rozbiory Polski były niesłychaną w dziejach całego świata zbrodnią *religijną*, i to nie tylko dlatego, że popełniono ją „w imię Przenajświętszej i Nierozdzielnej Trójcy“ (jak bluźnierczo opiewają wszystkie trzy traktaty podziałowe), ale nadewszystko dlatego, że trzej zbodniarze, rozszarpując Polskę, mieli na celu nie samo zniszczenie *państwa* polskiego, ale nadto wytępienie *narodowości* polskiej, narodowość zaś, jak powiedział Mickiewicz, to największe ze wszystkich dzieł Bożych, stworzonych na ziemi, niezbędne do urzeczywistniania Królestwa Bożego, to jest do postępu moralnego ludzkości.

Na kongresie wiedeńskim (1815) Anglja i Francja przestrzegały państwa zaborcze, że wytępienie takiej narodowości, jak polska, jest rzeczą niemożliwą, że więc, jeśli się nie da wskrzesić państwa polskiego, to należy przynajmniej zapewnić Polakom możność swobodnego rozwoju narodowości, zgodnie z ich wiekową tradycją historyczną. O wskrzeszeniu państwa polskiego trzej zbrodniarze nawet słyszeć nie chcieli, i oto kongres wiedeński nietylko nie przekreślił trzech rozbiorów, ale nadto, wykreślając z mapy Europy stworzone przez Napoleona (1807) Księstwo Warszawskie, popełnił nową zbrodnię: dokonał czwartego rozbioru Polski, który podpisały już nietylko trzy państwa rozbiorcze, ale także Francja, Anglja, Hiszpanja, Portugalja i Szwecja, i to znowu „w imię Przenajświętszej i Nierozdzielnej Trójcy“. Polsce rzucono, jakby na urągowisko, ogryzek niepodległości pod postacią maleńkiej „Rzeczypospolitej Krakowskiej“ i pozwolono łaskawie, żeby się część zaboru pruskiego nazywała „Wielkiem Księstwem Poznańskiem“, a część zaboru rosyjskiego — „Królestwem Polskiem“. Pozatem trzej zbrodniarze uśpili sumienie Europy obietnicą roztoczenia „ojcowskiej opieki“ nad narodem, który sama „Opatrzność oddała im w ręce“ i zapewnienia mu warunków, potrzebnych

*) Jest to wstępny rozdział książki, nad którą autor pracuje obecnie, p. t. „Historja literatury Polski porozbiorowej“. *(Przyp. Red.)*.

do swobodnego rozwoju narodowości,... o ile tylko da się to pogodzić z interesami ich państw. Krótko mówiąc, kongres wiedeński zatwierdził wyrok śmierci, wydany na Polskę w XVIII wieku przez trzy państwa ościenne.

Ten wyrok zaczęły one wykonywać już dawniej, tuż po rozbiorach, ale od czasu, kiedy go Europa zatwierdziła, wykonywały go coraz bezwzględniej. Były wprawdzie w epoce niewoli chwile, w których to lub owo państwo zaborcze łagodziło ucisk w ziemiach polskich i dawało im pewne swobody, np. częściowy samorząd albo prawo posługiwania się językiem ojczystym w szkole i w urzędach publicznych: ale te ustępstwa czyniono jedynie z musu — pod naciskiem różnych okoliczności politycznych, nie zaś z poczucia sprawiedliwości względem narodu, który uroczyście przyrzeczono otaczać „opieką ojcowską"; korzystano z każdej nadarzonej sposobności, aby odebrać mu to, co się dało, i nanowo wypowiadano zaciętą walkę jego odrębności narodowej. Austrja nie stanowiła bynajmniej wyjątku pod tym względem: pobita pod Sadową (1866), *musiała* się zgodzić na ustępstwa dla „Galicji": oddać pewne dziedziny rządu nad krajem jego mieszkańcom, pozwolić, aby językiem wykładowym w szkołach była mowa ojczysta i t. d. Ale zmieniły się jedynie sposoby, cel pozostał ten sam, co dawniej: wykorzenić z dusz polskich polskość.

Ten sam cel przyświecał innym państwom zaborczym: jak Austrja chciała przemienić Polaków na Austrjaków, tak Prusy — na Prusaków, a Rosja — na Moskali. Nie było niegodziwości, podłości, przewrotności, którąby się w dążeniu do tego celu nie posługiwano; nie było krzywdy, którejby podbitemu narodowi nie wyrządzono; nie było gwałtu, któregoby jego ciału i duszy nie zadano. Nietylko czyny, do których się naród raz po raz porywał, aby odzyskać niepodległość, albo któremi chciał tylko zaświadczyć o swej odrębności narodowej, ale nawet myśli, uczucia i marzenia patrjotyczne poczytywano za „zbrodnię stanu" i karano śmiercią, wygnaniem, więzieniem; czasem umyślnie wywoływano czyny patrjotyczne, zwłaszcza wśród młodzieży, aby je utopić w potokach krwi, w mękach tułactwa, w ciemnościach więzienia. A potem nakazywano jeszcze „prawomyślnym obywatelom" dziękować za „uśmierzenie buntu" i za przywrócenie „porządku w kraju".

Pragnąc zubożyć naród, a nawet zniszczyć go materjalnie, we wszystkich zaborach, konfiskowano po powstaniach właścicielom ziemskim majątki. Albo i wtedy, kiedy powstań nie było, wywłaszczano ich za pieniądze i osadzano na ich ziemi cudzoziemców: tak było w zaborze pruskim.

W zaborze austrjackim robiono wszystko, aby nie pozwolić na rozwój handlu i przemysłu polskiego; w zaborze rosyjskim utrudniano rozwój rolnictwa. Aby przeszkodzić zjednoczeniu się różnych warstw społecznych w jeden naród, szczuto chłopów na szlachtę; jeżeli uwłaszczono chłopów, to wcale nie dlatego, że się to im dawno należało, ale głównie dlatego, aby wzbudzić w nich nienawiść ku szlachcie, która się, naogół biorąc, sama wzdragała tego dokonać, a i dlatego jeszcze, żeby kupić sobie ich wdzięczność i wogóle uczucia „wiernopoddańcze". Wiernopoddańczość zaś szlachty usiłowano sobie pozyskać (niekiedy z pomyślnym skutkiem), obdarzając ją tytułami hrabiowskiemi i urzędami dworskiemi, na które się tak bardzo łakomią wszelkiego kalibru głupcy i pyszałki.

Nie dosyć na tem; podżegały państwa zaborcze przeciwko Polakom inne narodowości, które się, dzięki wiekowej pracy kulturalnej Polski zrosły z nią dobrowolnie w jedno ciało Rzeczypospolitej: Austrja podżegała Rusinów, Rosja — Białorusinów i Litwinów.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Zdając sobie sprawę, że człowieka i obywatela urabia nie tylko dom, ale i szkoła, wróg nie dopuszczał, żeby nauka szkolna miała charakter narodowy. Niewola trwała w niektórych ziemiach polskich lat blisko sto pięćdziesiąt, w niektórych przeszło sto dwadzieścia, i prawie przez cały ten czas większa część polskiej młodzieży musiała się uczyć większości przedmiotów, albo i wszystkich (nie wyłączając nawet religji i języka ojczystego) w języku obcym. A bywało i tak (w zaborze pruskim i rosyjskim), że języka ojczystego zupełnie nie wolno było uczyć, co więcej, nie wolno było rozmawiać po polsku w murach szkoły i surowo karano wszelki opór w tym względzie. Wogóle w żadnej innej dziedzinie nie wypowiedziano narodowości polskiej tak zaciekłej walki, jak w szkolnictwie: We wszystkich trzech zaborach głównem zadaniem szkoły, nawet wtenczas, kiedy pozwolono, żeby się nauka odbywała po polsku, było nie pielęgnowanie uczuć narodowych w młodzieży, nie jej rozwój umysłowy i moralny, ale przedewszystkiem wynaturzenie młodych dusz polskich, mianowicie przerabianie ich na dusze bądź rosyjskie, bądź pruskie, bądź austrjackie. W tym to właśnie celu prześladowano w szkołach język polski, albo też upośledzono jego mowę na rzecz nauki języka „państwowego"; w tym samym celu, albo wcale nie uczono historji polskiej, albo, co stokroć gorsza, fałszowano ją, wywlekając z niej to wszystko, co było w niej niedobrego lub niemądrego, a przemilczając, albo kryjąc w cieniu wszystko, co było w niej szlachetnego i wielkiego; w tym samym celu uczono szczegółowo historji państw roz-

biorczych, i to zupełnie inaczej, bo tając jej cienie, a rozjaśniając światłę: chodziło przecie o to, żeby ją młodzież polska pokochała i wolała od własnej; o tem zaś, żeby rozbiory Polski nazywać po imieniu — zbrodnią, nawet mowy być nie mogło: przeciwnie ogłupiano młode głowy i zatruwano młode serca nauką, że rozbiory były bądź „koniecznością historyczną“, ponieważ Polska i tak, prędzej czy później, samaby upaść musiała, bądź nawet dobrodziejstwem ze strony państw ościennych, że więc „król Herod dobroczyńcą był dla sierot“. Kazano jeszcze za to dobrodziejstwo dziękować Panu Bogu, każąc modlić się w kościele za pomyślność i potęgę tych państw, za zdrowie i szczęście ich „miłościwych“, „łaskawych“, „wspaniałomyślnych“ Herodów.

A jakby tego wszystkiego jeszcze mało było, zaczęły się tuż po rozbiorach prześladowania tej wiary, którą wyznawała i wyznaje olbrzymia większość narodu polskiego, która też była i jest jedną z ostoi moralnych polskości w jej walce z wrogiem, — katolicyzmu. Szczególnie prześladowała go prawosławna Rosja, zwłaszcza katolicyzm obrządku wschodniego; prześladowały go, jak mogły, protestanckie Prusy, które zdobyły się nadto na piekielny pomysł niemczenia ludu polskiego przez niemieckich księży katolickich i utrudniania księżom polskim, aby pełnili swoje obowiązki względem ludności polskiej; zmuszano ich nawet, podobnie jak w zaborze rosyjskim, do nieposłuszeństwa ustawom Kościoła katolickiego, mianowicie do nauczania religji w języku obcym. Katolicka Austrja nie mogła prześladować katolicyzmu w ziemiach polskich, ale i ona nie mniej surowo, jak Rosja i Prusy, wymagała od polskich księży i biskupów katolickich ślepej uległości względem władzy państwowej i uznawania jej za legalną.

Tak oto postępowały z Polską trzy państwa rozbiorcze, które, zawierając z sobą, w osobach swoich władców, tak zwane „święte przymierze“ (w Paryżu dnia 26 września roku 1815), „oznajmiły uroczyście“, że zarówno w swojej polityce zewnętrznej, jak wewnętrznej, będą się kierowały jedynie zasadami „wiecznej i świętej religji Boga-Zbawiciela“, to znaczy, zasadami sprawiedliwości, miłości i pokoju, które powinny nie tylko rządzić życiem ludzi prywatnych, ale nadto wpływać bezpośrednio na wolę panujących i przyświecać wszystkim ich czynom“. W rzeczywistości zarówno wola wszystkich mocarzy, panujących Polsce porozbiorowej, jak wszystkie ich czyny wobec niej, były jednem wielkiem krzywoprzysięstwem i bluźnierstwem wobec Boga-Zbawiciela; żaden bowiem z tych mocarzy nie kierował się względem swoich polskich poddanych ani sprawie-

dliwością, ani miłością, ani pokojem, a jeżeli czasem który z nich chciał im ulżyć (nie z dobrej woli, tylko z własnego interesu), to go drugi wnet od tego odwodził, a niekiedy groził mu nawet wojną, bojąc się, żeby Polacy zamieszkali w jego państwie, nie wymagali ulg dla siebie.

Wogóle o równouprawnieniu Polaków z Niemcami w Austrji i Prusach, a z Rosjanami w Rosji nawet mowy nie było: Niemcy poczytywali Polaków za naród niższy, a więc równouprawnienia niegodny, za niewolników, którzy powinni się czuć szczęśliwymi i dumnymi z tego, że są poddanymi Niemców, narodu wyższego; Rosjanie mieli wprawdzie świadomość swojej niższości kulturalnej wobec Polaków, więc nie poczytywali ich za naród niższy, ale właśnie za tę ich wyższość nad sobą nie tylko ich nienawidzili, ale chcieli ich kulturę obniżyć do poziomu swojej.

Lecz nadszedł właśnie dzień zapłaty: w roku 1914 wybuchła „wielka wojna" — ta wojna, o którą kazał nam modlić się Mickiewicz — i skończyła się po czterech latach klęską wszystkich trzech mocarzy. Polska znowu zajaśniała na mapie Europy: wiara starych Polaków, że „mocniejszy Pan Bóg niżli djabeł", okazała się prawdziwą.

II. Polska wobec wroga.

Jakże się naród polski zachowywał w niewoli i jakim z niej wyszedł?

1. Zdawałoby się, że naród, który po pierwszym rozbiorze z taką energją porwał się do ratowania ojczyzny, który, uświadomiwszy sobie swoje winy i błędy i pragnąc je naprawić, uchwalił Konstytucję 3 maja, który później, kiedy Konstytucję Konfederacja Targowicka zamordowała, zdobył się pod wodzą Kościuszki na bohaterskie powstanie przeciwko zdradzie własnych nikczemników i obcej przemocy, — zdawało się, że taki naród, kiedy powstanie skończyło się nie tylko klęską wojenną, ale i ostatecznym upadkiem niepodległości, odczuje to jako najstraszniejsze ze wszystkich nieszczęść, możliwych na tym świecie.

Strach pomyśleć, że było inaczej. *Ogół* społeczeństwa (na które po dawnemu składa się prawie wyłącznie szlachta, bo mieszczanie i chłopi po większej części nie mieli jeszcze silnej świadomości narodowej), nietylko sercem nie odczuł, ale nawet myślą nie ogarnął całego ogromu nieszczęścia i hańby. O świetnej przeszłości zapomniano, w przyszłość nie wierzono, albo raczej nie myślano o niej; łatwo godzono się ze swoim losem, wi-

dząc, że i pod obcem panowaniem można mieć pełne koryto, co więcej... bawiono się doskonale: zjeżdżano się do miast, aby hulać, tańczyć, pić, szaleć, a w chwilach, wolnych od tych zajęć, utyskiwano dla przyzwoitości, że „wszystko już na wieki stracone“. Dochodziło do tego, że o państwach zaborczych mówiono „my“, i to czasem nawet z dumą: taki Trembecki np. pysznił się „naszą“ potęgą, to jest potęgą Rosji, a w zaborze austrjackim jakiś bezimienny pismak z pod ciemnej gwiazdy, sklecił w roku 1809 książeczkę, której sam już tytuł wiele mówi zarówno o głupocie, jak o nikczemności autora: „Uwagi patrjoty *austrjackiego*“ (!!); o Austrji mówi ten głuptas, „my“, mówi także o „*naszym* cesarzu“ i o jego „*wiernych* poddanych“ polskich. Na szczęście jednak ten letarg okropny, w jaki zapadło tyle dusz polskich po trzecim rozbiorze, był krótki. Budziła je z niego mądrość i szlachetność garstki patrjotów, którzy tuż po utracie niepodległości podjęli świadomą pracę (zwłaszcza w Warszawie i Wilnie), nad ocaleniem polskości w społeczeństwie — w myśl hasła Staszyca: „Paść może i naród wielki, zniszczeć nie może, tylko nikczemny“. Oprócz zaś tej zbożnej pracy najszlachetniejszych jednostek przyczyniły się niemało do obudzenia dusz polskich z letargu wielkie wypadki historyczne, mianowicie wojny napoleońskie, w których, dzięki legjonom, męstwo żołnierza polskiego zajaśniało w całym swoim blasku. Wojny te wskrzesiły na pewien czas państwowość polską — w Księstwie Warszawskiem.

2. Lecz po upadku Napoleona i Księstwa Warszawskiego, kiedy zawiodły także nadzieje w cesarzu rosyjskim, który przybrał tytuł „króla polskiego“ i łudził społeczeństwo, że do „Królestwa Polskiego“ przyłączy „Ziemie Zabrane“, a cóż dopiero po powstaniu listopadowem, które skończyło się klęską, — *ogół* narodu, chociaż nigdy już, ani jednego razu, nie wpadł w tak okropną śpiączkę duchową, jak bezpośrednio po trzecim rozbiorze, raz po raz tracił wiarę w odzyskanie niepodległości. A byli i tacy małoduszni, którzy przestali wierzyć nawet w ocalenie odrębności narodowej i którzy twierdzili, że najlepiej będzie dla Polaków, jeżeli o niej zapomną i utoną w morzu Słowiańszczyzny (czyli właściwie w morzu rosyjskiem), że patrjotyzm polski winien polegać na tem, „ażeby być działaczem powolnym i użytecznym w losach wielkiego rosyjskiego państwa“. Na szczęście, takich odstępców, jak autor „*Listopada*“, Henryk Rzewuski, można zliczyć na palcach. Więcej, na nieszczęście, było takich, którzy, uwierzywszy naiwnie w przestarzałą i zdradziecką naukę, że władza panującego pochodzi od samego Boga, poczytywali najeźdźców za prawowitych władców. Jeden z trzeciorzędnych poetów wziął nawet, w naiwno-

ści swojej, tę naukę tak bardzo do serca, że na cześć cesarza Aleksandra II wysmażył odę, w której darł się tak:

A wy, duchy Jagiellonów,
Pojrzyjcie ku nam z wysokości!
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszych myśli i miłości.

To zwątpienie o niepodległości Polski wzrosło jeszcze po powstaniu styczniowem, niektórym zdawało się, że sprawa polska „jest już ostatecznie przegrana i złożona do archiwum". Już tylko jednostki nie traciły wiary w odzyskanie *państwa;* powszechnie zaś myślano już tylko o ocaleniu *narodu* — zapomocą pomnażania jego bogactw, zarówno materjalnych, jak duchowych. Żeby zaś państwa zaborcze nie miały powodów do tłumienia tej pracy, powzięto myśl zawarcia z niemi „ugody": wzamian za ulgi otrzymane (w zaborze austrjackim), albo tylko spodziewane (w zaborze rosyjskim i pruskim), obiecywano lojalność, — która wobec własnego, prawowitego rządu jest cnotą, ale względem najezdnika jest „psu zasługą, człowiekowi grzechem". I tak oto powstała straszna doktryna „trójlojalizmu".

Najwcześniej rozbrzmiało i najmocniej utrwaliło się hasło lojalności w zaborze austrjackim: tutaj prześcigano się nieraz wzajemnie w ujawnianiu swoich „uczuć wiernopoddańczych", które w niektórych duszach, zwłaszcza bogatej arystokracji i wysokich urzędników, były (wstyd powiedzieć!) szczere: byli tacy, którzy cesarza austrjackiego naprawdę lubili i jego „wspaniałomyślność" szczerze wielbili, a kiedy raczył najmiłościwiej nawiedzać *„swoje"* (!!) „królestwo Galicji i Lodomerji", witali go i przyjmowali „całem sercem", „ze staropolską gościnnością", w staropolskich strojach. Zapominano jakoś, że „wspaniałomyślnym" względem „swoich narodów" zaczął być cesarz wtedy dopiero, kiedy dostał w skórę od Prusaków.

I w zaborze rosyjskim próbowano „ugody": kiedy w roku 1897 cesarz rosyjski przyjechał do Warszawy, „ugodowcy" urządzili mu wjazd tryumfalny; a w Wilnie niektórzy Polacy wzięli udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Imperatorowej Katarzyny, na którym, wśród wielu jej zasług, położonych dla Rosji, wyryto i tę, że „wyzwoliła z pod jarzma polskiego ziemie odwiecznie rosyjskie, oderwane od pnia macierzystego". Była epoka „ugody" także w zaborze pruskim: oświadczono uroczyście, że Polacy już nie myślą i nie będą myśleli o oderwaniu ziem polskich od Prus,

nawet że będą bronili całości granic pruskich i że nie będą popierali coraz to silniej budzącej się (ku oburzeniu i zdziwieniu Prusaków) polskości na Górnym Śląsku.

Wprawdzie nie wolno przeczyć, że ten program „ugody" i „trójlojalizmu" wypłynął, naogół biorąc, z pobudek patrjotycznych, nie zaś samolubnych: jego twórcom i zwolennikom chodziło przecie nadewszystko o to, żeby naród polski, skoro, jak sądzono, nie może odzyskać niepodległości państwowej, mógł przynajmniej, w ramach obcej państwowości, żyć i pracować jako odrębny naród. Był to jednak patrjotyzm chory — okaleczony przez rezygnację: patrjotyzm zdrowy nie pogodzi się nigdy z lojalnością względem zaborców i nigdy się nie wyrzeknie myśli odzyskania ojczyzny.

(Dok. nast.) *Ign. Chrzanowski.*

Solidaryzm a spółdzielczość*).

Solidarność jest treścią i istotą współżycia między ludźmi. Bez solidarności nie można wyobrazić sobie społeczeństwa. Przesąd prostaczków głosił wygodną zasadę, że byle każdy dbał tylko o własne wzbogacenie się, o własną korzyść, „całość sama się złoży". Jest wprost przeciwnie. Tylko wówczas, gdy wszyscy dbają o całość, a indywiduum zapomina o sobie w ciągłej trosce o ogół, wzmaga się powodzenie i dobrobyt każdej jednostki.

Solidarność, wypływająca z bezinteresownej miłości bliźniego jest naturalnie wyjątkiem i póki natura ludzka cudownej a zasadniczej nie ulegnie zmianie, nie przestanie być cechą niezmiernie rzadką u człowieka. Jednostki, żyjące w t. zw. świecie cywilizowanym są przeważnie usposobione samolubnie. Stąd zapewne pochodzi błędne przypuszczenie, że egoizm przeważa też w życiu społecznem. I tak byłoby może w istocie, gdyby społeczeństwo było jedynie sumą jednostek, gdyby w człowieku

*) Zamieszczamy ciekawy artykuł prof. Caro, podejmując przez to dyskusję nad stosunkiem solidaryzmu do doktryny chrześcijańsko-społecznej. *(Przyp. Redakcji).*

nie mieściła się obok ciała i dusza, gdyby nie posiadał on szeregu cech intelektualnych i moralnych, skierowujących jego postępowanie częstokroć na inne tory, sprzeczne z interesem egoistycznym, a zgodne z interesem gromadnym. Ale społeczeństwo nie jest bynajmniej sumą jednostek, jest czemś więcej i czemś zgoła innem, niż pewną ilością indywiduów, gryzących się między sobą i współubiegających o złoto.

Czy mam to udowadniać argumentami zaczerpniętemi z dziedziny filozofji od Arystotelesa począwszy? Czyliż raczej niech będzie wymowniejszym argumentem przypomnienie szeregu prac na wielką skalę, jak sztucznego nawadniania Egiptu lub budowy wodociągów i term Karakalli w starożytnym Rzymie, opłynięcia przylądku Dobrej Nadziei i odkrycia Ameryki w średnich wiekach, przekopania kanałów Sueskiego i Panamskiego, najszerszego zastosowania wynalazków technicznych w różnych dziedzinach w naszych czasach, wynalazków pociągających za sobą największe ofiary ze strony jednostek, olbrzymie korzyści ze strony ogółu, a dopiero w dalszem następstwie także korzyści dla wszystkich członków tego ogółu?

Gdy Polska zagrożona była zawleczeniem chorób zaraźliwych z Rosji Sowieckiej, zaprowadziliśmy wzdłuż granicy kordon sanitarny. A do kosztów tego kordonu przyczyniły się nawet państwa pozatem wrogo lub obojętnie do nas się odnoszące. Postąpiły tak dlatego, bo nie była pobudką ich działania miłość bliźniego, ale przeświadczenie o naturalnej i nieuniknionej z nami solidarności, poprostu obawa zawleczenia zarazy do ich krajów, gdyby przedostała się do Polski.

Każdy, kto ubezpiecza się na wypadek pożaru, na życie lub wogóle od najrozmaitszych wypadków, grożących jego osobie lub mieniu, a względnie od materjalnych skutków tych wypadków, czyni to w celu zapewnienia sobie w przyszłości pewnego kapitału lub renty, w razie gdy ten wypadek istotnie go dotknie. Umowa o ubezpieczenie jest kontraktem losowym, przynoszącym w rezultacie korzyść tylko jednej stronie, bądź ubezpieczonemu, któremu dostarcza częściowego bodaj ekwiwalentu poniesionej materjalnej szkody, bądź towarzystwu ubezpieczeń, które pobiera od ubezpieczonego premję — nic mu w zamian nie dając. A jednak ludzie się ubezpieczają nie dlatego wprawdzie, aby dostarczać funduszu innym w razie, gdy ich dotknie nieszczęśliwy wypadek, ale dlatego, bo słusznie są głęboko przeświadczeni o solidarności łączącej ich między sobą i niezależnej bynajmniej od ich woli i wzajemnych sympatyj.

Jeżeli sprowadzamy za większą sumę towarów z zagranicy, niż ich wysyłamy poza słupy graniczne, rezultatem takiego działania musi być niekorzystny bilans handlowy bez względu na to, czy czynność tę przedsięwezmą w Polsce Polacy czy też członkowie t. zw. mniejszości narodowych. Wyjazdy za granicę zmuszają nas do zakupna walut obcych i działają w kierunku obniżenia własnej bez względu na to, czy przedsiębierze je Polak lub nie-Polak w Polsce mieszkający. Skutek w obu wypadkach jest naturalnie taki sam: obniżka kursu złotego. Ponieważ zaś wszyscy obywatele polscy, prócz pewnej garstki eksporterów i ich współinteresantów mają jednakowy interes w utrzymaniu kursu złotego na możliwie wysokim poziomie, wynika stąd dla przeważającej większości tych obywateli naturalna solidarność interesów, mimo silnego choćby antagonizmu w innych dziedzinach, n. p. politycznej czy religijnej.

Zgodne współdziałanie przedsiębiorców w kartelach, trustach, poolach czy syndykatach, rozdział między członków ustanowionego kontyngentu zakupionych surowców, oznaczenie rozmiarów wspólnej produkcji zastosowanej do ustalonego zapotrzebowania zabezpiecza odbyt towarów i uchyla niebezpieczeństwo przesileń w wyższym stopniu, niżby to zdołał uczynić najprzemyślniejszy wysiłek producenta idącego luzem, *out-sidera*. I tu więc solidarne współdziałanie mniejszej grupy osiąga w jej obrębie rezultat pomyślny.

Związki zawodowe robotników wszelkich kategoryj spełniają zadania podobne. Wyższy stopień solidarności pracodawców z robotnikami cechują instytucje wspólne, takie, jak urzędy pojednawcze i Izby rozjemcze, oraz wspólne porozumienie w kierunku ustalania minimum płac i spólnoty cennikowe, dzięki czemu na dłuższy okres czasu wykluczone bywają strejki, przynoszące tyle szkody życiu gospodarczemu. Najwyższy stopień solidarności międzyklasowej osiąga pogląd, w czyn wcielany codziennie przez Henryka Forda, określającego płace robotnicze tylko jako rodzaj zaliczki na udział w zysku, a robotnika, jako spólnika przedsiębiorcy.

Czy stosunek między kupcem, pośrednikiem z jednej, a konsumentem z drugiej strony, a podobnie między dostarczycielem kapitału, a dłużnikiem, tudzież między wytwórcą a bezpośrednim nabywcą nie da się ukształtować podobnie na zasadzie solidarności interesów, tkwiącej głęboko w życiu gospodarczem i stanowiącej pobudkę i zachętę obrotu?

Wszak już we filozofji oraz w prawie starożytnem i średniowiecznem solidarność ta objawiała się w pojęciu słusznej ceny towarów, w umiarkowanym procencie, w surowych karach za wyzysk i lichwę. Od

Arystotelesa i prawa rzymskiego począwszy poprzez prawo kanoniczne, niemieckie, francuskie, angielskie, niezależnych miast handlowych włoskich i niemieckich, zawsze i wszędzie istniało dążenie do ustanawiania słusznej ceny towarów, t. j. ceny umiarkowanej, ustalonej przez magistraty w drodze doliczania do kosztów nabycia czy produkcji kosztów transportu i własnego utrzymania pośrednika, tudzież zakaz przekraczania tej granicy. Tak samo istniał procent, nie wyższy naogół nad stopę zysku, osiąganego przez dłużnika, więc w rolnictwie niższą, w żegludze handlowej wyższą, ale nigdy nie przewyższający przewidzianych w ustawie granic, poza które stawał się lichwą i wchodziły w życie dotkliwe kary świeckie i kościelne w razie jej popełnienia.

Dopiero pod wpływem liberalizmu z końca XVIII wieku dopuszczono szturm do tych zasad, a Jeremiasz Bentham wypowiedział pogląd, że lichwiarze są dobrodziejami ludzkości, komu zaś warunki przez nich stawiane wydadzą się zbyt wygórowane, ten, oczywiście nie będzie korzystał z ich usług. Podobnie obłudne kłamstwo głosili ekonomiści liberalnego obozu, twierdząc, że umowa o pracę, zawarta z robotnikiem, nie powinna podlegać nadzorowi Państwa. I robotnik tak, jak dłużnik lub kupujący towar, zawrze umowę tylko wtedy, gdy jest dla niego dogodną, a przedsiębiorca już dlatego da mu godziwą płacę, bo inaczej współpracy jego nie uzyska. Ale w istocie argumenty te są zwodnicze i błędne: robotnik w razie porozumienia pracodawców w kierunku nieuiszczania płac sięgających ponad pewien poziom, musi się zgodzić na dyktat pracodawcy, musi się poddać jego przewadze i wyzyskowi, bo czekać z braku zapasów nie może; tak samo ktoś zmuszony do zaciągania pożyczki podda się z całą świadomością wygórowanym i lichwiarskim choćby warunkom, tak samo ktoś inny, nie mogąc cierpieć głodu lub chodzić w podartem ubraniu, przepłaci środki żywności lub odzież.

Wolnej konkurencji w istocie niema. Sprzedający nie wynoszą na targ całej wytworzonej przez siebie lub sprowadzonej skądinąd ilości towarów. Gdy grozi spadek cen, chowają przezornie towary i kapitały; z ich wzrostem dopiero wysyłają je i to częściami tylko na rynek.

I dlaczegóżby zresztą konkurencja sama miała rozstrzygać o cenie? Konkurencja, a więc rzecz zależna od przypadku: ilości kupujących czy sprzedających, potrzebujących towaru i mających go na zbycie? Czy skutkiem wyłącznego władania tego stanu rzeczy, władania niekontrolowanego przez państwo, nieograniczonego świadomą wolą jednostek, ceny nie wzrastają skutkiem zmniejszonego, a nie maleją skutkiem pełniejszego za-

spokajania potrzeb, a więc w stosunku odwrotnym do pożyteczności społecznej towaru, czy też usługi? Tu jednak dotąd zasada solidarności nie uzyskała należnego jej wstępu do stosunków społecznych.

Co tedy uczynić aby zasadzie tej i w obrocie dopomóc do zwycięstwa? Czy przedewszystkiem dbać, jak u nas niektórzy głoszą, o kupiectwo polskie, o banki polskie, o produkcję polską? Ale dla kogo oni wszyscy? Czy produkcja może być sama w sobie celem, czy jest tylko środkiem? A jeśli jest środkiem do zaspokojenia potrzeb ludzkich i niczem więcej, to należy dążyć jak Henryk Ford, do ciągłego obniżania cen i powiększania tą drogą zastępu konsumentów. A skoro ogół przedsiębiorców tego nie czyni, czy nie jest uzasadnioną samopomoc tych kupujących towary bądź u kupców, bądź u pośredników i tych potrzebujących chwilowej pożyczki dla celów inwestycyj gospodarczych, którą muszą opłacać się w przyszłości?

Myśleli o tem i pierwsi głosili te zasady genjalni dwaj twórcy spółdzielczości: Anglik, Robert Owen i Francuz, Karol Fourier. Ale póki rzecz głosiły teoretyczne rozprawy, mniej lub więcej upstrzone fantastycznemi jak u Fouriera dodatkami, lub póki eksperymenty praktyczne Owena, niedość przemyślane lub odrazu na zbyt szerokie zakreślone rozmiary, nie odnosiły sukcesu, nie trudną była z niemi walka oponentów. Dopiero gdy sami robotnicy w szczupłem zrazu gronie i z małym kapitałem, ale z niezłomnem postanowieniem bezinteresownej, pełnej poświęcenia i solidarnej pracy dla dobra zastępu rówieśników zawodowych, niezrażeni trudnościami i niepowodzeniami, których było na początek sporo, założyli w Rochdalu pierwszą kooperatywę, myśl solidarystyczna rozpoczęła tryumfalny swój pochód po świecie. Z tych drobnych początków powstał naprzód w Wielkiej Brytanji, a niebawem w reszcie kulturalnej Europy, tudzież w Ameryce Północnej wspaniały gmach współdzielczości.

Konsumy wielkobrytyjskie, złączone w olbrzymich dwóch związkach na Anglję i Szkocję posiadają dziś własne gospodarstwa rolne na przestrzeni tysięcy morgów, własne plantacje kawy i herbaty za morzem, własne fabryki obuwia, bielizny, ubrań, mebli, mydła, świec, krochmalu, biszkoptów, kakao, czekolady, tytoniu, własne młyny, drukarnie, banki, okręty. Spółki budowlane spółdzielcze wydały przeszło 50 miljonów funtów szterlingów na nowe budynki, zapobiegające brakowi lub drożyźnie mieszkań. W Danji, rozwinęły się chłopskie spółki produkcyjne, w szczególności spółki mleczarskie, rzeźnie spółkowe i spółki zbytu jaj. Te trzy

typy spółek produkcyjnych trudnią się przeważnie eksportem i dzięki nim wpływało przed wojną do Danji corocznie za samo masło 210, za nierogaciznę 60, za jaja 15 miljonów, razem 285 miljonów franków złotych. Podobnego rozwoju doczekała się z równie małych początków spółdzielczość w Szwajcarji, we Włoszech, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, we Francji.

Dlaczego u nas nie wiedzie się spółdzielczości? czy dlatego, że zwalczają ją kupcy? Wszak czynili to samo na wielką skalę za czasów Owena, wykupując od robotników za bezcen przekazy na towary, złożone w magazynach fabrycznych i ogałając w ten sposób rozległe składy wielkiego filantropa. Wszak w Szwajcarji kupcy bazylejscy podkopywali wszelkimi sposobami stowarzyszenia spółdzielcze, zakładane w Oberwil. Wszak w Niemczech założenie fabryki mydła w Aken nad Elbą nie mogło przyjść do skutku z powodu zakazu magistratu, uzasadnionego obawą zagrożenia interesów kupiectwa. Pamiętne są jeszcze morza szyderstw i intryg piętrzące się przeciw spółkom kredytowym miejskim i wiejskim: systemów Schulzego z Delitzsch i Raiffeisena.

A jednak konsumy angielskie zaspakajają dziś wszystkie potrzeby miljonów robotników, kupiec nie wiele na nich zarabia, stał się dla nich zbytecznym; stowarzyszenie w Oberwil rozrosło się na dwa kantony: Bazyleę miasto i Bazyleę wieś, chłop sprzedaje mu wszystkie swe produkty, dla wszystkich istnieje kasa oszczędności, zakład kąpielowy, elektrownia, cegielnia, ubezpieczenie, fabryka mydła, piekarnia, a pośrednik kupiec przegrał sromotnie kampanję. W Niemczech ogólna liczba udzielonych dwom miljonom członków kas Reiffeisenowskich pożyczek wynosiła przed wojną dwa miljardy marek złotych. Ani jedna z tych kas nie zbankrutowała, podczas gdy wielkie banki i kupcy stawali się gromadnie niewypłacalnymi, wszystkie kasy przetrzymały ubytek sił robotniczych, zajętych służbą frontową i ciężkie ograniczenia gospodarki wojennej. Włochy rozbrzmiewają dziś hasłem: precz z pośrednikiem. Wspaniałe rezultaty stowarzyszeń wytwórczych włoskich, a w szczególności Związków robotników budowlanych i ziemnych, którym służy Bank Pracy i Izby Pracy w Medjolanie oraz spółek dzierżawnych po wsiach umożliwiły tryumfy polityczne faszyzmu.

Dlaczego to wszystko tam a nie u nas? Czy istotnie spółdzielczość nie da się pogodzić z wybujałym jakoby indywidualizmem polskim, jak głoszą interesowani po przeciwnej stronie i ich poplecznicy? Na to pytanie odpowiem pytaniem wzajemnem. Czy nasze spółdzielnie trzymały

się zawsze i wszędzie zasad, zdobytych doświadczeniem Zachodu, czy w szczególności rozdzielają zawsze osiągnięte ze sprzedaży nadwyżki w stosunku do zakupu, jak być powinno i jak to czynią kooperatywy angielskie, włoskie, czy niemieckie, czy też raczej wyposażają w szczególne zyski kapitalistów, przyznając im duże procenty od udziałów? Powtóre czy we wszystkich naszych spółdzielniach istnieje zupełna równość członków na zebraniach ogólnych, a nieprzyznawanie pod tą lub ową formą większej władzy tym, którzy posiadają więcej udziałów? Po trzecie czy sprzedaż odbywa się zawsze tylko za gotówkę i po cenie sprawiedliwej? A po czwarte czy łączyły się w wielkie związki bez względu na przynależność polityczną, czy też rozbijały się na małe i słabe, zwalczające się wzajemnie i dalekie od ducha solidarności, których wszak mają być wcieleniem?

Spółdzielnie na zachodzie zbliżają wieś do miasta, wykazują jednej i drugiemu, że niema między niemi sprzeczności, lecz że owszem istnieje głęboka zgodność interesów. Są ludzie wpływowi, którym na tem zależy, aby siać nieufność i rozdzielać tych, którzy naprawdę między sobą się nie znają, choć mieszkają tak blizko siebie. Ale jest dowodem braku głębszego wniknięcia w sprawę niezrozumienie, że owej sprzeczności interesów naprawdę niema i że utrzymanie zadowolenia gromady pośredników i Banków kapitalistycznych mniej jest warte od zgody, zadowolenia i dobrobytu najszerszych kół wsi i miasta.

Niepowodzenia naszego narodu wyposażonego w ziemię przepiękną, urodzajną i bogatą, ludność zdrową i zdolną, niepowodzenia przeważnie w dziedzinie gospodarczej pochodzą nie skądinąd, jeno z braku zdolności do zgodnego współżycia najszerszych warstw. Powszechna nieznajomość rzeczy w tym zakresie i płynąca z niej podejrzliwość, żądania cudownych zmian i napraw od każdego nowego rządu, przypisywanie wszelkich win przeciwnikowi politycznemu, a wszelkich zasług zwolennikowi własnych zapatrywań, upodabniają nas do ludzi pierwotnych. Spółdzielczość może nas wychować, co więcej to jedyny sposób wzniesienia nas na wyższy stopień kultury, a tem samem i materjalnego powodzenia. Gdy będziemy zdolniejsi do współżycia, t. j. do ustępstw wzajemnych w imię dobra ogółu, dla narodu naszego i państwa rozpocznie się epoka pomyślności. Kooperacja, jak słusznie zaleca wielki francuski ekonomista Karol Gide, powinna być otwartą dla członków wszystkich stronnictw, a nie przeznaczoną tylko dla niektórych, ani też osłabioną przez rozdział na tyle kooperatyw, ile jest stronnictw. Przed murami współdzielni ustać powinna wszelka waśń partyjna; wówczas zaś po za jej murami prowadzoną będzie w formie umiarkowanej i z szacunkiem dla przeciwnika.

Wiemy wszyscy, że ustrój kapitalistyczny nie jest bynajmniej ideałem, zapewniając przywileje jednym, a nieumiejąc uchronić od głodu innych. Ale do innego ustroju ogół dotąd nie dorósł i najszlachetniej pomyślane ustawy nie będą skuteczne dopóty, póki spółdzielczość nie wychowa nas na innych ludzi, bezinteresownych i bezwzględnie uczciwych i póki nie zrozumiemy głębokiej solidarności istniejącej między ludźmi, niezależnie od ich wzajemnej ku sobie sympatji i niezależnie od ich woli.

Póki księga kontowa jest biblją, giełda kościołem, a złoto bogiem przeważnego zastępu ludzi, wedle słynnego wyrażenia Anglika Edmunda Burkego, póty współdzielczość nie może mieć powodzenia. U tych natomiast narodów, wśród których odbywa się regeneracja moralna, współdzielczość, a z nią dobrobyt ogółu rozwija się i kwitnie. Oto wskazówka, jaką nam daje historja.

Prof. Dr. Leopold Caro.

Lwów.

Zaproszenie do ankiety.

Nad katolicką Polską zawisły groźne chmury. Zawisły, a w każdej chwili paść z nich mogą ciosy w to, co najdroższe, najistotniejsze w życiu narodu. Niebezpieczeństwo zagraża rodzinom, wychowaniu pokoleń, moralnemu zdrowiu narodu.

Perfidna, pełna kłamstwa propaganda „moralnej sanacji“ znieprawia poglądy społeczeństwa na dobro i zło. W mgle kłamstwa zatracać się poczyna poczucie tego, gdzie jest uczciwość, a gdzie przestępstwo. W imię celów głęboko ukrytych znieprawia się i zamąca poglądy na moralne dobro i zło w narodzie. Nie wiedzieć jak długo ta mgła będzie się unosiła. Ale nam, katolikom, zapominać nie wolno, że za jej zasłoną gotują się ciosy w moralne podstawy życia narodu — w zdrowie rodziny, może też inne, równie głęboko sięgające.

Nie wolno się nam łudzić. Lepiej prawdę jasno sobie powiedzieć. Od początków niepodległości nie było niebezpieczniejszych chwil dla życia katolickiego w Polsce. I nie od jutra one przeminą. Stoimy wobec czynników, które gotowe są bezwzględnie i znienacka zadawać ciosy, i te ciosy z całą swobodą zadawać mogą. A siły katolickie są dziś słabsze i bar-

dziej rozbite, niż przedtem. Dalecy winniśmy być od lamentu, czy zwątpienia. W głębokiem skupieniu stanąć musimy do pracy, gotując grunt, przygotowując broń do naszej walki o moralne zdrowie narodu. Tylko na własne wysiłki możemy liczyć.

Na pierwszym planie stanąć musi sprawa ustawodawstwa małżeńskiego. Nie może ono być obcem duchowi Kościoła, nie może tembardziej jemu się przeciwstawiać. Na katolickiej wierze i cywilizacji wyrosła Polska, i każde podkopywanie chrześcijaństwa jest podcinaniem jej potęgi i bytu. Rozbicie małżeństwa osłabia siłę społeczeństwa, podcina jego moralne podstawy, oddaje wychowanie dziecka na los przypadku, rozbija najbardziej podstawowe cnoty życia społecznego — cnoty rodzinne i indywidualne. Zniekształcone ustawodawstwo małżeńskie stanie się przyczyną upadku narodu.

W świadomości niebezpieczeństwa tego stanąć musimy do wytrwałej walki o prawa katolicyzmu w Polsce. Niech pierwszym krokiem będzie ta ankieta, która dać winna materjał tym pracownikom i działaczom społecznym, którzy będą walczyli w obronie zasad katolickich. Daje się odczuć bowiem brak materjału dobrze dla praktycznych zadań opracowanego, i temu brakowi zaradzić za cel sobie ankieta postanowiła. W zamierzeniach Redakcji leży, by wydać te poważne bezwątpienia wyniki, które dać musi, w formie książki, którąby się stała nieodzowną podstawą wszelkiej szerzej zakreślonej akcji katolickiej.

Do łaskawego udziału w naszej ankiecie zapraszamy tych wszystkich myślicieli, pisarzy i działaczy katolickich, którzy czynnie pracując w ruchu katolickim, stoją w szeregu walczących o lepsze jutro katolickiej Polski. Nie wątpimy, że poprą oni z całą siłą inicjatywę naszą, która znaleźć musi echo w szerokich kołach katolickich.

Termin nadsyłania odpowiedzi oznaczamy na 15 października 1926, zastrzegając sobie prawo drukowania w „Prądzie“ celniejszych odpowiedzi i również przed tym terminem.

Redakcja.

ANKIETA.

1. Jaki jest wpływ rozerwalności małżeństwa na kobietę i jej życie?
2. Jak wpływa na wychowanie i wykształcenie dzieci rozerwalność małżeństwa?
3. Jaki będzie los dzieci w razie wprowadzenia rozwodów?
4. Jaki jest wpływ rozerwalności małżeństwa na przyrost ludności i jej zdrowotność?
5. Jaki wpływ ma rozerwalność małzeństwa na intensywność pracy i jakość twórczości człowieka?

6. W jakim stopniu rozerwalność małżeństwa godzi w gospodarcze i społeczne interesa wsi?
7. Jak rozerwalność małżeństwa oddziaływa na byt warstwy robotniczej?
8. Jakie są ogólne skutki rozwodu w społecznem, gospodarczem, kulturalnem, religijno-moralnem, politycznem życiu społeczeństwa?
9. Jakie skutki w polityce zewnętrznej i wewnętrznej narodu będzie miało wprowadzenie rozwodów?
10. Czy wprowadzenie rozwodów odbije się na stosunkach narodowościowych, a przedewszystkiem na kwestji żydowskiej?
11. Jakie skutki może mieć rozerwalność małżeństwa na kresach?
12. Jak się odbić mogą na obecnej sytuacji państwa usiłowania wprowadzenia rozwodów?
13. Jaki jest wpływ rozwodów na deprawację w druku i słowie?
14. Jaką jest w życiu moralnem i społecznem rola sakramentalnego charakteru małżeństwa?
15. Jakie są zgodne z życiem drogi uregulowania ustawodawstwa małżeńskiego? *)

Faszyzm i katolicyzm.

Na temat stosunku włoskiego faszyzmu do katolicyzmu pisze się w zagranicznej prasie dużo. Sprawa jest bowiem, jak obecnie rzeczy stoją we Włoszech, niezmiernie ważną zarówno dla obecnego „regime'u“ państwowego, jak i dla Kościoła powszechnego. Jak zaś jest trudną do rozwiązania, świadczy fakt, że w dyskusji, często bardzo gorącej, padają wprost przeciwne sobie głosy, choć nieraz z jednego pochodzą obozu.

Rozważanie stosunku faszyzmu do katolicyzmu objąć musi obydwie strony problemu: ideologiczną i praktyczną.

Zaczynając od prawnej, trzeba sobie postawić pytanie: — czy faszyzm ma swoją ideologję, swój własny pogląd na świat i całokształt ludzkich spraw.

Odpowiedź na nie jest dość trudna! Faszyzm z r. 1926 nie jest już faszyzmem z r. 1922, faszyzmem „marszu na Rzym“. W międzyczasie nastąpiły w jego obozie znaczne i ważne przemiany.

---

*) Uwaga: odpowiedzi mogą dotyczyć pojedyńczych pytań albo grup.

Tworzony przez Mussoliniego był protestem przeciw demagogji liberalnej, przeciw bolszewickim i socjalistycznym eksperymentom, przeciw niedołęstwu rządów, przeciw poniżaniu narodowej godności przez elementy radykalne. I był walką z temi objawami rozkładu społecznego i politycznego. Nie miał charakteru ruchu o podkładzie światopoglądowym, filozoficznym. Był tylko armją, która pod kierownictwem Mussoliniego miała przywrócić państwu siłę, a społeczeństwu spokój.

Zadania tego faszyzm dokonał. Nie tylko, że zapobiegł wybuchowi rewolucji socjalnej, ale przez gospodarczą odbudowę podniósł warunki życia i w ten sposób odjął ruchom socjalistycznym najważniejszy atut w demoralizowaniu mas robotniczych. Nazewnątrz wreszcie podniósł autorytet Włoch niezmiernie wysoko i z tego państwa, które przed r. 1922 nie odgrywało w życiu międzynarodowem większej roli, uczynił mocarstwo, którego przedstawiciele mogą, przy obradach n. p. w sprawie reorganizacji Rady Ligi Narodów, dyktować żądania.

Trzeba przyznać, że tego wielkiego dzieła dokonał faszyzm sam, o własnych siłach. Może tylko współdziałanie króla, a zwłaszcza jego zachowanie się po „marszu na Rzym“, można podnieść jako pomoc z zewnątrz. Poza tem faszyzm był sam, sam władzę zdobywał i sam państwo urządzał. Wszystkie strumyczki, które czy od ludowców, czy od liberałów, czy wreszcie konserwatystów, do niego spłynęły, traciły charakter odrębności i rozpływały się w faszyzmie.

Zwycięstwo odniesione w takich warunkach musiało go przyjąć przeświadczeniem o własnej sile. I, dalej: — musiało go pchnąć na drogę, na której go dziś widzimy, stwarzania własnego duchowego, filozoficznego oblicza.

Stało się to z pewnością przedewszystkiem skutkiem przyłączenia się grupy nacjonalistów do faszyzmu, co się stało już po odniesionem przez niego zwycięstwie. Ruchliwa i zajęta historjozoficznemi studjami garść nacjonalistów z dzisiejszym senatorem Corradinim na czele, wniosła w obóz faszystowski pewien ferment, chęć stworzenia własnego, faszystowskiego systemu społecznego i politycznego. Nie jest jej obcym min. Federzoni, a nawet sam Mussolini, którego ścisłe łączą stosunki z obydwoma teoretykami faszyzmu. I jeśli dziś na uniwersytetach tworzy się „katedry faszyzmu“, — jeśli się mówi o „państwie faszystowskiem“ w znaczeniu teorji, — to jest to niewątpliwie skutek tych studjów, które Corradini w obozie faszyzmu zainicjował, względnie pokierował.

A równocześnie, jeśli się mówi o konflikcie faszystowskim z katolicką ideologją, to konflikt ten opiera się o poglądy tego właśnie, ideologicznego, kierunku, który tworzy Corradini.

Don Sturzo w swojej rozprawie, zamieszczonej w „Enquête sur le Nationalisme“ Vaussarda ujmuje faszyzm jako typowy objaw nacjonalizmu, jako „ubóstwienie narodu“. „Naród“ stanowi najwyższą wartość i zarazem daje podstawy etyce publicznej. Państwo jest tylko środkiem, „narzędziem, którem się naród posługuje w wykonywaniu swej absolutnej władzy“. Wszystko więc winno służyć „narodowi“!

Znaną jest powszechnie teorja Corradiniego o „walce narodów“. Corradini przeniósł na grunt polityki międzynarodowej materjalistyczną teorję Marksa o „walce klas“ i głosi, że, jak w życiu społecznem toczy się walka między poszczególnemi klasami, tak stosunki międzynarodowe są areną walk narodów o hegemonję, o lepsze rynki zbytu towarów, o nowe zdobycze terytorjalne.

Zbędnem byłoby szeroko dowodzić, jak dalece te poglądy różnią się z zasadami katolicyzmu. Ogólnie biorąc niszczą katolickie pojęcie normy moralności, w miejsce bowiem absolutnego Dobra, Boga, stawiają naród, jako dobro najwyższe i źródło moralności. Polityczny dalej system Corradiniego jest zmodernizowaniem teorji państwa, według Hegla, — międzynarodowy wreszcie, podkreślający „egoizm narodowy“, i „walkę narodów“, jako czynniki twórcze i moralne w historji narodów, wypływa z filozoficznego materjalizmu, z tego samego źródła, z którego wyszedł socjalizm.

Lecz — zauważył to już Lessing — „sama natura troszczy się o to, by człowiek we właściwym znaczeniu zapomniał o swej teorji“. Ideologja faszyzmu dotąd nie przeniknęła głęboko w masy. Zwłaszcza, o ile chodzi o ostateczne, jakieby należało z niej wyciągnąć, konsekwencje. Masy nic nie zmieniły ze swoich dawnych poglądów na religję, rodzinę, własność! Ci, którzy byli wierzącymi przed faszyzmem, pozostali nimi, a nawet więcej: ci, którzy byli wrogami religji, zamilknąć musieli.

Będąc niedawno we Włoszech, zauważyłem, że nawet antykatolickie dotąd pisma wyrażają się o religji z dużym respektem i nawet pisząc o urzędowych jej przedstawicielach, piszą z godnością.

Zdarzyło się n. p. w maju bież. roku, że Patrjarcha wenecki Kard. Lafontaine, zakazał wiernym zwiedzania wystawy sztuki; znalazło się bowiem na niej szereg dzieł, które w wysokim stopniu obrażają moralność. Byłem ciekawy, jak się zachowa prasa. Otóż nie spotkałem jednego dzien-

nika, któryby wystąpił przeciw rozporządzeniu władzy kościelnej. Rzymski zaś „Messagero“ (mimo blizkich dziś stosunków z faszyzmem nie mający w redakcji katolickich publicystów) skarcił harmider wystawowy, a nawet podkreślił przy tej okazji wielkie zasługi Kościoła dla sztuki i najlepsze jego tradycje w zakresie oceny tego, co piękne, a co brzydkie.

— „Oto wpływ faszyzmu“ — powiedział mi jeden z włoskich księży, z którym o tem rozmawiałem.

Skutkiem tego zaś, że „ideologja faszystowska“ kierunku Corradiniego nie przyjmuje się w masach, jest zaś tylko przedmiotem zainteresowań publicystów (których z tego powodu przy każdej sposobności karci „Osservatore Romano“), — skutkiem tego pytanie o stosunek faszyzmu do katolicyzmu ma charakter głównie praktyczny, dotyczy wykonanych już lub projektowanych przez rząd reform społeczno-politycznych i—jeszcze—dotyczy praktycznego stosunku faszystów do władz kościelnych i organizacyj katolickich.

Zaczynając od ostatniego punktu trzeba przyznać organowi Stolicy Apost. „Osservatore Romano“ rację, gdy się świeżo skarżył, że „katolicy nie mają powodu do radości z powodu zachowania się faszystów w stosunku do ich dzieł i organizacyj“. Niema prawie tygodnia bez wiadomości, że gdzieś faszyści zdemolowali, lub przynajmniej napadli dom katolickiego stowarzyszenia młodzieży; zdarzają się także fizyczne zniewagi duchownych. Wprawdzie rząd je karci; najwidoczniej jednak i ów nie może w zupełności opanować zbyt gorących temperamentów „czarnych koszul“.

W czasie mojego świeżego pobytu w Rzymie byłem świadkiem zajścia, które świadczy, że wśród faszystów nie brak żywiołów antykatolickich.

Wracałem od strony via Appia autobusem. Mijając kościół św. Sebastjana spotkaliśmy procesję obchodzącą „sette chiese“ w dniu 1 maja. Dwaj jadący z nami faszyści usłyszawszy śpiew kościelny, zerwali się i dla zaznaczenia swoich antykatolickich przekonań zaśpiewali „Giovinezza, giovinezza“, próbując przekrzyczeć idących w procesji ludzi. Na szczęście w naszym wozie nie znaleźli poparcia. Po pierwszej więc zwrotce dali za wygranę i mocno niezadowoleni zaniechali manifestacji, która zresztą nie wywołała żadnej awantury.

(Nie brak jednak i przeciwnych objawów, jak n. p. uroczysta komunja wielkanocna bież. roku udzielona rzymskiemu oddziałowi faszystów przez Kardynała de Lai).

Gdyby chodziło o przyczynę tego antykatolickiego kursu, jaki się tu i ówdzie w szeregach faszystowskich plącze, to może być podwójna: czasem jest wynikiem antykatolickich przekonań (nie trzeba zapominać, że Włochy były do niedawna obok Francji społeczeństwem najbardziej przez masonerję opanowanem), częściej jednak jest skutkiem smutnego konfliktu między katolicką „partją ludową“ a faszyzmem w parlamencie i w kraju.

„Partja ludowa“ powstała jeszcze przed wojną w chwili, kiedy Stolica Apost. uznała, że nieobecność katolików w parlamencie więcej szkód przynosi sprawie katolickiej, niż pożytku. W r. 1913 przy wyborach zyskała 30 mandatów. Dopiero jednak po wojnie urosła w prawdziwą potęgę. Przy wyborach w 1919 r. wprowadziła na Montecittorio 100 posłów, w r. zaś 1921 aż 120. Była partją centrową, bez której niepodobna było rządzić. Wchodziła też do wszystkich większości rządowych, czy z prawicą, czy z socjalistami. Nie zdobyła się jednak nigdy na twarde stawianie swego programu, a owszem, swoim oportunizmem w stosunku do socjalistów firmowała nieraz wprost burzenie podstaw państwa lub niezgodne z wymogami etyki katolickiej zarządzenia. Było to częściowo winą przywódców, którzy działalność polityczną wyobrażali sobie jako zawieranie kompromisów i targi w kuluarach. Było także następstwem za szybkiego wzrostu stronnictwa, które ogarnęło w swoje szeregi osoby nie mające wiele wspólnego z chrześcijańsko-społecznym programem. Wystarczy przypomnieć fakt, że na kongresie „partji ludowej“ w Neapolu w r. 1920, wniosek o zabór ziemi bez odszkodowania skupił 76 tys. głosów członków partji (reprezentowanych przez delegacje); wprawdzie wniosek upadł, bo 106 tys. głosów uzyskał wniosek o parcelację za odszkodowaniem, pokazało się jednak, że w stronnictwie jest dużo żywiołów nie posiadających elementarnych wiadomości z zakresu chrześcijańskiego pojęcia prawa własności.

Partja ta związana kompromisem z socjalistami opowiedziała się odrazu przeciw faszyzmowi. Na niej się też, obok socjalistycznej, wyładowywała początkowo nienawiść „czarnych koszul“ do dawniejszych rządców Włoch. Jeżeli zasłużyła na karę, to kara z ręki faszyzmu była straszna a z pewnością nadmierna. Że zaś z racji swej organizacji, swojego stosunku do władz kościelnych, „partja ludowa“ uchodziła za polityczny odpowiednik całej katolickiej akcji i wszystkich organizacyj katolickich, a więc zawodowych robotniczych, oświatowych i spółdzielczych, — że ta partja dla swoich zgromadzeń korzystała nieraz z lokali tych organizacyj; — razem z nią ręka faszyzmu spadała i na te, niewinne, organizacje,

a nawet na sam Kościół. Obok niewątpliwie słusznych powodów konfliktu (jeżeli chodzi o „partję ludową“) nie brakło oczywiście i urojonych. Ale tak już bywa, że w ogniu walki ginie nieraz z oczu przedmiot sporu, a widzi się tylko przeciwnika. Może za lat kilka i jedni drudzy dojdą do przekonania, że powodów do tak bezwzględnej walki, jaką prowadzono, nie było.

Na dobitek, przywódcy obydwu obozów, nie umieli, czy nie chcieli opanować rozpętanej nienawiści. Odnosi się to zwłaszcza do przywódców faszyzmu. Sam Mussolini nie jest wolny od winy ekscytowania swoich „czarnych koszul“ przeciw „popolarom“. I to nawet z wysokości trybuny parlamentarnej! Wina zaś jego jest tem większa, że wiedział, jakie się z tym konfliktem łączą dla niego trudności w sprawie stosunku do katolicyzmu, t. j. do tej siły kulturalnej, na której — jak mówił — oprzeć chce podstawy państwa.

I bodaj, czy nie bezwzględna walka faszystów z popolarami jest powodem niedowierzania, z jakiem się jego na korzyść religji podejmowane reformy spotykają w oficjalnych kołach katolickich!

A ma rząd faszystowski w tej dziedzinie niewątpliwe i duże zasługi, znane zresztą z doniesień prasy. Wprowadził więc naukę religji do szkół państwowych, — krzyże do szpitali, — uznał nierozwiązalność małżeństwa, popiera misje katolickie, — Colosseum przyozdobił krzyżem, przywrócił instytucję kapelanów wojskowych, — minister sprawiedliwości zapowiedział świeżo wprowadzenie krzyża do sal sądowych i w. in. Wszystko to świadczy niewątpliwie o usiłowaniach obecnego rządu, by zapewnić katolicyzmowi wpływ na życie społeczne, i stosunek państwa do Kościoła oprzeć na zasadzie porozumienia. Te dobre chęci rządu i jego zasługi ocenia przedewszystkiem Stolica Apostolska, czego dowodem była mowa Ojca św., wygłoszona na zamknięcie „Roku Świętego“, w której znalazło się miejsce także i na serdeczne podkreślenie oddanych przez rząd Kościołowi usług.

Ta działalność rządu, jakkolwiek zasługuje na uznanie (choćby w porównaniu z działalnością rządów poprzednich), jednak nie może jeszcze sama doprowadzić do zupełnego zlikwidowania trudności, stojących na drodze zupełnego porozumienia Stolicy Apostolskiej z państwem włoskiem. Stało się to widocznem w związku z uplanowaną przez rząd reformą ustawy wyznaniowej.

Mianowicie, w d. 12 lutego 1925 r., wyłonił minister sprawiedliwości komisję rządową, celem przygotowania noweli w tej sprawie. Do ko-

misji zaproszono także trzech rzymskich prałatów, jako rzeczoznawców; zasiedli w niej bez protestu, ale i bez mandatu Stolicy Apost. W d. 31 grudnia 1925, komisja przedstawiła rządowi swój elaborat, który następnie został podany opinji publicznej przez prasę.

Projekt komisji staje na gruncie faktycznych, aktualnych stosunków i zawiera postanowienia, odnośnie do obsadzania kościelnych stanowisk, praw zgromadzeń religijnych, nowego urządzenia majątkowych spraw Kościoła i — wreszcie — uposażenia duchowieństwa. W każdym z tych kierunków przynosi projekt rządowy poprawę stosunków z punktu widzenia interesów Kościoła. Wszczęła się dyskusja naokoło projektu. Czekano na słowo Stolicy Apost., ogłosił je „Osservatore Romano“, d. 23 lutego, w formie listu Ojca św. do Kardynała Sekretarza Stanu.

W dokumencie tym, niezmiernie ważnym dla dalszego rozwoju stosunków między Watykanem a Kwirynałem, stwierdza Ojciec św. trzy rzeczy:

1) duchowni, którzy brali udział w pracach komisji nie mieli żadnego mandatu od władz kościelnych do traktowania spraw poruszonych w projekcie ustawy;

2) we wszystkich tego rodzaju układach, które dotyczą osób i rzeczy, podpadających na podstawie prawa kościelnego pod władzę Kościoła, muszą brać udział upełnomocnieni delegaci Stolicy Apostolskiej;

3) wreszcie, jeśli się chce doprowadzić do pomyślnego rozwiązania trudności, nic nie pomogą reformy w sprawie nauczania szkolnego, lub poprawienie warunków utrzymania duchowieństwa, jak długo trwa *niesprawiedliwe położenie, w którem się znajduje Stolica Apost. i Papież rzymski*“.

I tym trzecim punktem dotknął Papież istoty zagadnienia. Stwierdza w nim najwyraźniej, że reformę stosunku państwa do Kościoła we Włoszech zacząć (!) należy od rozwiązania t. zw. kwestji rzymskiej, — t. j. od unormowania prawnej sytuacji Stolicy Apostolskiej.

Jest ona istotnie nienaturalna. Po zaborze państwa kościelnego we wrześniu 1870 r., po plebiscycie 2 października 1870 r., weszły w życie „prawa gwarancyjne“. Zapewniają one Papieżowi prawa panującego, eksterytorjalność pałaców watykańskich, laterańskiego i Castel Gandolfo, i — wreszcie — rentę roczną 3.225 tys. lir. Nowego stanu rzeczy Stolica Apost. nie uznała, z renty nie korzysta, na znak zaś protestu Papież nie opuszcza Watykanu. W ten sposób powstała „kwestja rzymska“. Cóż więc w tej najważniejszej dla Kościoła kwestji może zmienić dorywcza

reforma ustaw państwowych? Będzie wnosiła ulepszenia poboczne, gdy czeka radykalna i skomplikowana praca! Z całą więc słusznością mógł Ojciec św. wykazać rządowi na to, że obrana przez niego droga do celu nie prowadzi.

Odpowiedzią na list Papieski była enuncjacja ministra sprawiedliwości w parlamencie, w maju bież. roku. P. min. Rocca, mówiąc o zamierzonej reformie ustawy wyznaniowej wspomniał o „głosie najwyższego autorytetu religijnego“ i oświadczył, że rząd go weźmie pod uwagę.

Świeże to są wypadki; trudno więc dziś powiedzieć, czy i co rząd w tej sprawie zamierza zrobić. Jedno jest pewne, że go list Ojca św. postawił wobec dużej trudności. Chodzi bowiem o niezmiernie delikatny problem: suwerenności Stolicy Apostolskiej. Możliwe są tu dwa wyjścia: albo rozwiązanie terytorjalne (przez oddanie Stolicy Apost. pewnej choćby części dawnego państwa kościelnego z prawami politycznej niezależności), albo też rozwiązanie na drodze prawnej (przez odpowiedni akt gwarancyjny). Pierwsze jednak nie może liczyć na przyjęcie w społeczeństwie włoskiem. Drugie musiałoby być inaczej dokonane, niż ustawa z r. 1871. Mianowicie musiałby to być układ obustronny, a nie ustawa, — musiałby wiązać rząd włoski gwarancjami międzynarodowemi (a więc czy przez zalegalizowanie w Lidze Narodów, czy też w formie gwarancyj ze strony państw, utrzymujących stosunki ze Stolicą Apost.). Nie trzeba dodawać, że nawet i to drugie rozwiązanie zapewniałoby pełną suwerenność Stolicy Apost. tylko w tym wypadku, gdyby prócz prawnych gwarancyj suwerenności dawało Stolicy Apost. także i pewną, choćby skromną, suwerenność terytorjalną.

Otóż odnośnie do tego drugiego rozwiązania nie są zupełnie znane poglądy rządu. W szczególności nie wiadomo, czy rząd Mussoliniego zdecydowałby się porzucić tradycyjną linję swoich poprzedników i poddać układ ze Stolicą Apost. pod gwarancję międzynarodową. Podobno Mussolini miał gdzieś w tym roku dać do poznania, że nie byłby temu przeciwny. Tak mi w Rzymie mówiono!

Ale, przypuściwszy, że się rząd na to zgodzi, pozostaje do załatwienia jeszcze szereg innych, nie mniej ważnych spraw. Niewątpliwie doprowadziwszy do porozumienia ze Stolicą Apost. zechciałby wykorzystać u niej szczególną okazję do zapewnienia państwu i narodowi włoskiemu pewnych przywilejów, które mogłyby naruszyć prawa innych katolickich państw. Mogłoby to wywołać nową sprawę międzynarodową, któraby

się w ostatecznym rezultacie wcale nie przyczyniła do znormalizowania stosunków państwa włoskiego do Kościoła.

Nic dziwnego, że rząd faszystowski tak okrąża „sedno rzeczy" i lęka się przystąpić do układów bezpośrednich ze Stolicą Apost., co na zewnątrz, dla powierzchownie rzeczy traktujących, może się wydawać nieszczerością — w gruncie rzeczy zaś jest tylko ostrożnością.

Jeszcze jedna sprawa utrudnia stosunek katolików do faszyzmu, mianowicie, podjęta przez rząd świeżo reforma w dziedzinie pracy i kapitału.

Przyznać trzeba Mussoliniemu, że zawsze zdawał sobie sprawę z ważności zagadnienia robotniczego. Rozumiał, że, jeśli je zostawi (tak jak dotąd było) poza zainteresowaniami władzy państwowej, i wyda na dalsze eksperymenty socjalistyczne, to, choćby w innych dziedzinach osiągnął najwspanialsze rezultaty, zaniedbania w tej jednej mogą tamte zupełnie unicestwić. Początkowo ograniczał się do dorywczych tylko reform i ustaw, które zresztą wcale nie miały charakteru „reakcyjnego" (warto przypomnieć, że już w r. 1923 wprowadził ustawowo 8-godzinny dzień pracy w cały szereg dziedzin produkcji i zapowiedział nawet ratyfikację odnośnej konwencji waszyngtońskiej, o ile jednak wpierw przeprowadzą ją u siebie najbardziej przemysłowe państwa Europy, jak Francja, Niemcy, Belgja i Anglja).

Potem przystąpił do założenia faszystowskich związków zawodowych pod hasłem współpracy robotników z przedsiębiorcami. Napotkał przy tem na znaczne trudności: opór ze strony dotychczasowych korporacyj. Przełamał go jednak, faszystowskie związki otoczył szczególną opieką władz państwowych, tak, że dziś z ramienia organizacyj robotniczych włoskich bierze udział przedstawiciel tych związków (Rossini) w obradach Międzyn. Biura Pracy w Genewie.

Stwierdziwszy więc wobec robotników swoją neutralność w zatargu kapitału z pracą (ustawy socjalne), stworzywszy dalej jednolitą faszystowską organizację zawodową, przystąpił Mussolini do trzeciego, najważniejszego, zadania: do radykalnej reformy w stosunku państwa do zagadnień społecznych.

Stało się to przez wydanie ustawy o korporacjach zawodowych z d. 3 kwietnia 1926. Prasa faszystowska nazywa tę datę przełomową w życiu państwa włoskiego. Jest w tem niewątpliwie dużo racji, o ile wykonanie ustawy przyniesie te skutki, których się ustawodawca spodziewał. Ustawa bowiem stanowi ostateczne zerwanie z systemem pań-

stwowego liberalizmu w dziedzinie produkcji, zapowiada natomiast niezmiernie silną i decydującą interwencję państwa w tej dziedzinie.

Postanawia mianowicie, że w każdej gałęzi produkcji ma się stworzyć dwa równoległe syndykaty: pracodawców i pracobiorców. Syndykaty te łączą się następnie na terenie państwa w związki państwowe. Ich zadaniem jest normować wzajemne stosunki pracodawców i pracobiorców w drodze bezpośrednich układów przez umowy zbiorowe, z wykluczeniem strejków i lokautów. W razie konfliktu rozstrzygać mają w ostatniej instancji powołane do tego osobne instytucje sądowe. Tylko te jednak syndykaty będą miały prawo zastępowania interesów członków, które zostaną przez państwo zalegalizowane. Rząd zastrzega sobie daleko idącą ingerencję nie tylko w dziedzinie polityki związkowej tych syndykatów, ale i — administracji, użycia funduszów i statutu; ustawa daje rządowi prawo rozwiązania związku, któryby swoją działalnością wykroczył przeciw wytkniętym dla syndykatów celom. Wreszcie, postanawia ustawa, w danej gałęzi produkcji istnieć może, wyposażony w powyższe prawa, jeden tylko syndykat pracodawców i jeden pracobiorców, — i to pod warunkiem, że nie będzie miał żadnych stosunków z zagranicznemi organizacjami. Nad urządzoną w ten sposób dziedziną stosunków kapitału do pracy będzie czuwało otworzone w tym celu nowe „ministerstwo korporacyj".

Oto w ogólnych zarysach obraz tego porządku, który ustawa włoska wprowadza w stosunki kapitału i pracy. O jego wartości realnej można będzie wypowiedzieć sąd objektywny dopiero po zastosowaniu go w życiu. Natomiast już teraz musi się stwierdzić, że pewne postanowienia ustawy przyniosły katolikom rozczarowanie i zawód. Wynika to przedewszystkiem z odezwania się samego Papieża, który w swojej allokucji konsystorjalnej w d. 14 grudnia 1925 r. wytknął, dyskutowanej żywo podówczas ustawie szereg braków ze stanowiska katolickiego. I wyraził „ubolewanie, że nowa ustawa zupełnie nie bierze pod uwagę katolickiej doktryny socjalnej i akcji katolickiej".

Katolicka doktryna socjalna wychodzi w swych wszystkich wnioskach i programach z potrzeb życiowych człowieka. Człowiek, ze swojemi usprawiedliwionemi dążnościami dobrobytu materjalnego i moralnego, jest tym punktem centralnym, ku któremu zwracać się winny wszystkie reformy społeczne. Ustawa zaś włoska z 3 kwietnia wychodzi z potrzeb produkcji krajowej i do nich dostraja cały projekt urządzenia stosunków pracy do kapitału, w czem się zgadza z kierunkiem „klasycznej

ekonomji", któremu wypowiada wojnę. Musi to mieć i swoje dalsze konsekwencje. Gdy bowiem katolicka socjologja na pierwszy plan w życiu gospodarczem wysuwa człowieka, i do człowieczeństwa się odwołuje zarówno u pracodawców, jak u pracobiorców, i temsamem w konflikt materjalnych interesów między kapitałem a pracą wprowadza uduchawiający, łagodzący pierwiastek moralny, — to ustawa faszystowska za najwyższe wskazania w tej dziedzinie uważa wzgląd na „produkcję narodową" i w ten sposób szczególnie silnie akcentuje walory materjalne w grze interesów między kapitałem a pracą. Odrzucając zasadę katolickiej socjologji, że „celem produkcji jest człowiek", stwarza możliwość pokrzywdzenia „człowieka" w nowym swoim ustroju; a zaś, pomijając milczeniem czynnik moralny w kwestji robotniczej, jedną dziedzinę życia społecznego pozbawia wychowawczego, skupiającego wpływu katolickiej moralności.

Takie znaczenie mają Papieskie słowa o braku katolickiej doktryny socjalnej w faszystowskiej ustawie.

Ustawa ta zasłużyła na krytykę Papieża także i z racji, że nie uwzględnia katolickiej akcji socjalnej. Miał zaś Papież na myśli z wielkim trudem organizowane chrześcijańskie związki zawodowe, które w r. 1921 liczyły ponad 500 tys. robotników. Nie powstały one odrazu. Poprzedziła je bardzo gruntowna, bardzo nowoczesna praca teoretyczna katolików włoskich, — i również długie lata prób organizacyjnych, które przed wojną, a zwłaszcza w pierwszych latach powojenych ukoronowane zostały wspaniałym wynikiem silnej i karnej organizacji zawodowej. W okresie, kiedy zakaz Stolicy Apost. nie pozwalał katolikom na zorganizowaną akcję polityczną, wszystkie ich wysiłki skierowane były na skupienie robotników w katolickich syndykatach i liczono na to, że one właśnie odegrają kiedyś decydującą rolę w odrodzeniu moralnem Włoch.

Tymczasem ustawa z 3 kwietnia przekreśla zupełnie egzystencję katolickich syndykatów robotniczych. Nie można bowiem ani na chwilę wątpić, że, jeśli w danej gałęzi produkcji będą się o legalizację państwową ubiegały — dajmy na to — syndykat faszystowski i syndykat katolicki, to legalizację uzyska syndykat faszystowski.

Ponadto w grę wejdzie tu także postanowienie, które za warunek uzyskania legalizacji stawia syndykatowi, by nie miał żadnych międzynarodowych stosunków. Jeżeli doświadczenie z amsterdamską, socjalistyczną Międzynarodówkę stwierdziło, że należenie do niej krajowej konfederacji zawodowej pozwala zagranicznym czynnikom mieszać się w we-

wnętrzne sprawy państwa, to historja chrześcijańskiego ruchu międzynarodowego nie zna ani jednego wypadku, w którymby chrześcijańska Międzynarodówka (w Utrechcie), czy przez swoje zjazdy, czy przez władze chciała się mieszać do spraw wewnętrznych jakiegoś państwa. Samo należenie obywateli do jakiegoś międzynarodowego związku nie stanowi jeszcze niebezpieczeństwa dla suwerenności państwa. Niebezpieczeństwo jest wtedy, jeśli dany związek międzynarodowy zajmuje się wewnętrznemi sprawami jakiegoś państwa i wpływa na jego obywateli, w myśl interesów, które nie odpowiadają interesom państwa. Gdyby wyrażoną w ustawie 3 kwietnia zasadę rząd faszystowski chciał egzekwować konsekwentnie, toby winien i uczonym zakazać udziału w towarzystwach naukowych zagranicy, — a tak samo zrobić ze wszystkiemi spółkami akcyjnemi, finansowemi i t. d.

Prasa faszystowska odpowiada na te zarzuty, że przecież ust. z 3 kwietnia nie zakazuje tworzenia w jednym przemyśle kilku syndykatów, ale tylko jednemu daje prawo wpływania na zewnątrz. Prawda, lecz korzyść stąd nie wielka. Cóż to bowiem będzie za syndykat, jeśli nie będzie miał praw wobec państwa, — jeśli nie będzie mógł podejmować żadnej akcji na korzyść swoich członków? Będzie musiał wieść żywot suchotniczy, a swoje zadania ograniczyć chyba tylko do celów oświatowych.

Tak też tekst ustawy zrozumiał katolicko-społeczny obóz we Włoszech, w pierwszym rzędzie kierownicy syndykatów. Co dalej wobec tego robić? Oto pytanie, które się wyłoniło w związku z powyższą oceną położenia!

Rzecz została przedłożoną do rozważań Centralnemu Komitetowi „Akcji katolickiej“, już w d. 15 marca bież. roku. Część obecnych twierdziła, że w warunkach, które stwarza nowa ustawa, niepodobna myśleć o podtrzymywaniu syndykatów katolickich, wobec czego najlepiej je będzie rozwiązać. Inni natomiast (głównie kierownicy syndykatów), byli za podtrzymaniem tych organizacyj, stworzonych z takim trudem, licząc na to, że przecież warunki mogą się zmienić. W rezultacie postanowiono przy „Akcji katolickiej“ powołać do życia instytucję do teoretycznych badań i prac na polu socjologji katolickiej, a dyskusję w sprawie syndykatów odłożyć na później. Co do pierwszej uchwały, to już w lutym ub. r. (1925) obmyślano t. zw. „Katolicki Instytut włoski działalności społecznej“ z dwiema sekcjami, teoretyczną (w łączności z Uniwersytetem w Medjolanie) i praktyczną (z siedzibą w Rzymie). Nad losem zaś syndykatów rozprawiano po raz drugi na zebraniu Komitetu „Akcji katolickiej“

w d. 15 maja. Obrady były gorące, zdania podzielone. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę z tego, że ust. z 3 kwietnia krzywdzi katolicki obóz, w ogólnym bilansie stosunków katolicyzmu do faszyzmu stanowi niewątpliwie punkt bardzo drażliwy.

I nie może być inaczej, jeśli się bierze pod uwagę prawa akcji katolicko-społecznej. Syndykaty robotnicze stanowią dla niej konieczną organizację. Są bowiem praktycznym wyrazem dążności katolickiej socjologji. Nigdzie, w żadnym kraju nie mogą katolicy dyspensować się od prowadzenia tej akcji, która zresztą jest nie tylko ich prawem z punktu widzenia nowoczesnej organizacji społeczeństwa, ale także i obowiązkiem, jeśli się ma na uwadze zasady katolickiej socjologji i wyraźne orzeczenie Stolicy Apostolskiej. A jeśli nigdzie, jeżeli w żadnym kraju niedopuszczalne jest to zaniedbanie, to chyba w pierwszym rzędzie we Włoszech. To też ustawa z 3 kwietnia może rządowi włoskiemu przyczynić wiele trudności w ułożeniu swojego stosunku do katolicyzmu. W każdym zaś razie w obecnej chwili stanowi ważny szkopuł, który, nie wiadomo jak, ale winien być szczęśliwie usunięty.

Ks. Jan Piwowarczyk.

Na drogach do przyszłej Polski.

Nie można odmówić ogromnej doniosłości sprawie ustalenia zasad ekonomji katolickiej, zasad dziś u nas dyskutowanych. Nie są to bowiem rozważania li tylko teoretyczne: muszą się one stać podstawą działań katolików. Dziś, gdy kraj jest na brzegu przepaści dzięki złej i fałszywej polityce gospodarczej, należy szukać nowych dróg. I w głębokiem skupieniu musi się odbywać praca myśli katolickiej.

W tej pracy nad ekonomją katolicką ważnym krokiem naprzód jest artykuł prof. Caro p. t. „Nauki gospodarcze św. Tomasza z Akwinu“, zamieszczony w Nr. 5 „Prądu“. Z radością stwierdzić trzeba, że następować zaczyna ustalanie się pojęć i dyskusja idzie już raczej o ujęcia i sformułowania. Mimo istnienia pewnych zagadnień, niedość wyjaśnionych, można wierzyć, że zgodność zasadnicza da się osiągnąć, — mimo pewnych odchyleń w szczegółach.

W artykule tym chcemy poruszyć parę podstawowych zagadnień ekonomji katolickiej, a to by wyświetlić drogi tej ekonomji,

Zaczynamy od kwestji najbardziej podstawowych.

Ważną jest rola etyki w życiu gospodarczem, szczególnie w dziedzinie socjalnej. Ale słów kilka poświęcić wypada kwestji, co w tej etyce ma przeważać i ton nadawać—sprawiedliwość, czy miłość? Jest to sprawa tyle już razy przesądzona, a jednak do niej trzeba powrócić. Nie jest to kwestja obchodząca mistyków, czy też błaha, od życia oderwana: bo jeśli się ludziom etykę wskazuje, jako normę ich postępowania — to się określić musi, co w tej etyce jest najwyższem prawem. I inne będą konsekwencje uznania za prawo najwyższe miłości, inne — sprawiedliwości. Sprawiedliwość nie wystarcza w życiu społecznem, i musi być miłość. Niech się zwie według przyrodzonego, najniższego stopnia — przyjaźnią, ale być musi. I nie może ponad nią stać sprawiedliwość, gdyż jest jej, według nauki Kościoła podporządkowana. Sprawiedliwość jest częścią istotną miłości, i dlatego ta ostatnia jest od niej wyższą. Nie obowiązek sprawiedliwości winien być nakazem najwyższym w etyce społecznej, ale obowiązek inny, szczytniejszy może — miłości. I jest on dostępny dla wszystkich, dla wszystkich zrozumiały, a w trwałości swej o niebo przewyższa sprawiedliwość. Nie sądzimy, byśmy się tu zasadniczo z prof. Caro różnili — raczej jest to niesprecyzowanie ujęć definitywnych.

Ogromnie doniosłą jest kwestja własności prywatnej. Zdaniem św. Tomasza wyższość jej nad wspólną polega m. in. na dwu momentach: „quia unusquisque laborem fugiens, relinquit alteri id, quod pertinet ad commune, sicut accidit in multitudine ministrorum"; a także „quia per hoc magis pacificus status hominum conservatur, dum unus quisque se sua contentus est; inde videmus, quod inter eos qui communiter, et ex indiviso aliquid possident, frequentius jurgia oriuntur" (Summa Theol. 2.2 q. 66), zdaje się wskazywać niedwuznacznie, iż za własnością indywidualną, prywatną przemawia większa jej rentowność, produkcyjność, jako formy wytwarzania dóbr doczesnych. Stąd jej zasadnicza wyższość nad formami kolektywnemi wytwórczości, które nie mniej pozostają dobre i słuszne, i mogą nawet wielkie oddawać usługi, szczególnie przy rozwiązywaniu pewnych kwestyj społecznych. Jednak własność wspólna jest, zdaniem św. Tomasza dostępna tylko dla ludzi, dążących do doskonałości (t. j. zakonników).

Nie może być ten pogląd bez znaczenia dla polityki gospodarczej: zasada wyższości gospodarki prywatnej nad innemi formami zbyt była

zapoznawana w naszej polityce gospodarczej, i ustalenie pewnych zasad katolickich nie może być bez znaczenia dla przyszłego jej rozwoju.

Najwięcej może trudności nastręcza problemat słusznego zysku, wiążący się z kwestją słusznej ceny. Z nim się bowiem łączy np. cała sprawa obciążenia warstw zamożnych, w myśl pewnych socjalnych haseł. Coś, co jest niesłusznie zabrane, winno przejść na własność potrzebujących. W tym np. kierunku idzie w stosunku do ziemi teza Henry George'a. Nasze ustawodawstwo do egzageracji doprowadziło tą zasadę, np. przy progresjach i degresjach podatkowych. Wobec nieustających sporów o rewizję dotychczasowej polityki gospodarczo-społecznej warto zastanowić się nad teoretycznemi podstawami zagadnienia. Powrócić tu trzeba do sprawy iustum pretium.

Zasada iustum pretium — ceny odpowiadającej włożonej pracy — nie jest możliwą do przeprowadzenia w całej pełni w życiu. Niewiadomo, czem mierzyć pracę, a zresztą każdy producent, np. w rolnictwie inaczej musi sobie liczyć cenę produktów, bo praca nie jest równa pracy. Zasada więc wspomniana dotyczy ustalenia pewnych cen przeciętnych, opartych na najwyższych skądinąd kosztach produkcji. Te przeciętne — mogą być różne dla różnych obszarów — mają cel praktyczny — obronę konsumenta przed wyzyskiem, sama zaś cena jest środkiem rozdziału dóbr [1]). Stąd więc można powiedzieć, że cena słuszna jest środkiem do słusznego rozdziału dóbr. Posiada więc zasada iustum pretium charakter wybitnie ochronny.

Pozostawia ona jednak w praktyce miejsce dla dochodu bez pracy, który się osiąga przez nadwyżki, osiągane przy sprzedaży po cenie przeciętnej. (Suma Theol. 2.2 q. 77. a. 1). Dzieje się to bez żadnych nadużyć. W rolnictwie również grunta lepsze, urodzajniejsze, bliżej rynków położone, dają wyższy dochód od innych, mniej korzystnie sytuowanych. I tu jest nadwyżka, dochód bez pracy, wynikający z pewnego przypadkowego nieraz pierwszeństwa. I tu nadużycie może być tylko wtedy, o ile jest świadome. I w przemyśle można mówić o pomyślnych, z okoliczności wypływających konjunkturach. Najwyraźniej jednak ten dochód bez pracy może występować w handlu. Poza słusznym zyskiem mogą być bowiem zyski nadzwyczajne: kupiec może zarobić duże sumy na towarach, których ceny podskoczyły na skutek odległych, od niego niezależnych przyczyn, np. wojny. Czy w tym wypadku, gdy nie śrubując cen, ani sztucznie od-

[1]) Może ona mieć również duży wpływ moralny na producenta, lub sprzedawcę, co miało miejsce w średniowieczu — kwestję tą, jako bliżej nie obchodzącą, pomijamy.

działywując na rynek, sprzedaje on swe zapasy, realizuje niesłuszny zysk? Problemat niewątpliwie jest skomplikowany. Inni kupcy, nie posiadający zapasów, muszą drożej sprzedawać towar, bo ich sprowadzenie nowego będzie drożej kosztować (niebezpieczeństwa przewozu, odległość producenta etc.). Jest causa copiae et inopiae u św. Tomasza: „Mensuras rerum venalium necesse est in diversis locis diversas, propter diversitatem copiae et inopiae rerum, quia ubi res magis abundant, consueverunt esse maiores mensurae". (Summa Theol. 2.2 q. 77 a. 2). Inna rzecz, jak tłumaczyć przyczynę różnicy cen. Mówi jeszcze św. Tomasz: „si... ille qui vendit non damnificetur carendo re illa, non debet illam supervendere" (Summa Theol. 2. 2 q. 77 a. 1).

Jeżeli kupiec, mający zapasy sprzeda je poniżej cen rynkowych, niewątpliwie straci, gdyż za uzyskane pieniądze nie będzie mógł nabyć nowych towarów w tej samej ilości. Sądzimy więc, że w tym wypadku zysk jego jest najzupełniej uczciwy i usprawiedliwiony. Wypływać może z pewnej przezorności — tego momentu nie bierzemy pod uwagę — ale także z okoliczności, od niego niezależnych. Jest to takie same pierwszeństwo, jak i wymienione wyżej przy rolnictwie i przemyśle. Jest to dochód bez pracy, a jednak nie jest on nieusprawiedliwiony, wbrew zdaniu prof. Caro. Renta nie jest w zasadzie nieusprawiedliwioną. Wypływa ona z pewnego rodzaju monopolu posiadaczy, uprzywilejowania pewnych grup ludzi. Takie uprzywilejowane grupy są konieczne: i obszar uprawny jest ograniczony, i ograniczony musi być przemysł. Takie uprzywilejowanie samo w sobie nie jest złe: nie może być tylko wykorzystywane ze szkodą innych. Uprzywilejowanie to wypływa właściwie z woli państwa: św. Augustyn mówi: „Tylko... na podstawie ludzkiego prawa można powiedzieć: Ta willa jest moja, ten dom jest mój, ten niewolnik jest mój; lecz prawo ludzkie nie jest niczem innem, jak prawem cesarskiem" (In Evangel. Joannis VI 25, 26).

Istotnie, ciekawą ilustracją tej prawdy jest np. uprzywilejowanie robotników miejskich w Polsce. Tramwajarze otrzymują w Warszawie pensje starostów i referentów. Uzyskali je oni drogą strajków, których nie można było złamać przez lokaut, dzięki ochronie, jaką dawało ich związkom państwo. Niewątpliwie dochody ich znacznie przewyższają wartość pracy i są pewnego rodzaju rentą; wynika ona z przyznania monopolu na pracę w tramwajach pewnym związkom. Otóż dziś te ogromne płace ciążą na społeczeństwie, gdy w innych warunkach mogły być usprawiedliwione. Sądzimy, że jest to jeden z charakterystycznych objawów wyzy-

sku, który jednak nie podważa tezy, iż dochód bez pracy sam w sobie nie jest nieusprawiedliwiony.

Należy bowiem przeprowadzić rozróżnienie między wynagrodzeniem za pracę, a prawem człowieka do użytkowania go. Człowiek ma, ściśle rzecz biorąc, prawo do utrzymania (siebie i rodziny) w najszerszem znaczeniu słowa. [1]) To mu się należy. Reszta przychodzi mu darmo. Zwykle to utrzymanie pokrywa się z wartością pracy, ale są też duże rozbieżności. Praca jest tylko sposobem otrzymywania dóbr, ale człowiek nie ma bynajmniej wyłącznego prawa do jej owoców. Ma z niej udzielać potrzebującym, ma też obowiązek odpowiednio administrować resztą. Sądzimy, że dochód bez pracy, również jak i nadwyżki płac służyć winny do kapitalizowania przez oszczędność. Gdyby zabierało je państwo — użycie byłoby nieproduktywne, albo bardzo kosztowne. Ze względu na wyższość gospodarki prywatnej, zostają w rękach jednostek. Sądzimy, że stąd wypływa obowiązek oszczędzania i kapitalizowania, aby wykorzystywać coraz pełniej dobra przyrodzone. Jest to zresztą obowiązkiem moralnym, gdyż polepszenie bytu przez wytwarzanie nowych dóbr, jest celem społeczeństwa ludzkiego.

Tu raz jeszcze podnieść trzeba napozór powszechnie uznawaną, ale w życiu zapoznawaną zasadę: rozwój produkcji jest koniecznością pierwszą, podstawą nieodzowną świadczeń społecznych. W razie upadku i zastoju produkcji, trudno o nich wiele mówić poza miłosierdziem. O tem się jednak dziś nie pamięta.

Obcując z teorją chrześcijańsko-społeczną nieustannie ma się wrażenie, że w dzisiejszym jej stanie strona socjalna życia tak w niej dominuje, że dla kwestji innych, czysto gospodarczych, jak np. produkcji, miejsce pozostaje niewielkie. Stąd może płynęła i płynie tak częsta u katolików słabość i nieudolność wobec pozytywnych zadań gospodarczych — taką była np. słabość Popolarów. Dlatego też nie od rzeczy będzie podkreślić pewne prawdy, które produkcji zwykle przodują, jeśli jako katolicy polscy do twórczej dla narodu pracy w przyszłości stanąć mamy.

Rozwój produkcji opiera się na jednostce: ona to sprawia jej taniość i wysoką jakość, choćby przez współzawodnictwo, tem wyższe zresztą, i owocniejsze, iż z wyższych płynie pobudek. Produkcja we władaniu wspólnem przeważnie jest droższa, i spółki raczej mniejsze udają się dobrze. Koniecznym, niezbędnym wprost jest ich rozwój dla odbudowy kapi-

---

[1]) Por. art. mój „We mgle“ w Nr. 3 „Prądu“.

tału, ale jednak zwykle kończą swe istnienie przez zamianę na indywidualne przedsiębiorstwa. Od spółek zarobkowych odróżnić należy kooperatywy, oparte nie na chęci zysku, ale na idei umoralniającej i wychowawczej — dywidend bowiem nie płacą, tylko sprzedają taniej. Stąd kapitału nie tworzą, są nieprodukcyjne same w sobie. Romantyzmem są jeśli chodzi o przerobienie z ich pomocą ludzkości. Mają one wielkie znaczenie i pole rozwoju w krajach o licznej ludności biednej, np. robotniczej, ale nie w nich leży ciężar rozwoju życia gospodarczego, są one raczej urządzeniem socjalnem i próbą.

I sądzimy, że Polska katolicka w dziedzinie ekonomicznej nie może się opierać na eksperymentach — musi realnie ujmować życie. Zdrowy kapitalizm jest dziś najlepszą formą wytwórczości. Usuwając liberalną anarchję należy go popierać i podtrzymywać, i na gruncie jego zdrowego rozwoju stosować te ustawy społeczne, które dobrobyt rozlewają na szerokie masy, i nie dają się bogactwom zbiegać w nieliczne ręce.

Jeśli więc stawiać pytanie, czy budując katolicką Polskę w przyszłości, szukać trzeba będzie nowych dróg w abstrakcjach złagodzonego kolektywizmu, czy oprzeć się na realnem życiu, to odpowiedź może być, zdaniem naszem tylko jedna: oprzeć się na realnem życiu. Na niem stawiać te fundamenty ekonomiczne, które katolickiemu państwu zapewnić muszą trwałość i dobrobyt, — podstawy jego duchowych postępów.

Ku temu też realnemu budownictwu przyszłości zwrócić się należy w teoretycznych rozważaniach, które się tu na tych łamach toczą nad ekonomją katolicką. Na tym też gruncie życia nastąpi, jak sądzimy, uzgodnienie tych różnic i odmiennych poglądów, które między prof. Caro, a podpisanym w toku rozważań niniejszych się ujawniły, a które tylko istotną, głęboką zgodność założeń raz jeszcze potwierdzają.

Senex.

ZE ŚWIATA.

TRUDNOŚCI FRANCJI.

Wszyscy Francuzi, a szczególniej ci, którzy znają dobrze Polskę i ją kochają, z obawą patrzyli na walkę dyplomatyczną, stoczoną z Niemcami o miejsca w Radzie Ligi Narodów.

W kilka dni wszyscy zrozumieli, że chodzi o prawdziwy pojedynek między Niemcami i Polską, oraz, że wynik będzie miał nader poważne konsekwencje; dlatego też serca przeżyły chwile ciężkiego niepokoju, bo coby tylko dotknęło Polskę, byłoby obrazą i niebezpieczeństwem dla Francji.

Nigdy nie łudziliśmy się co do niebezpieczeństwa, które zagrażało naszym krajom, wiemy też, że niezgrabność Niemiec odsunęła niebezpieczeństwo, nie zmniejszając go. Jeżeli zdawało się, że nie angażowaliśmy się w tej walce tak silnie, jakby tego wymagała wysokość stawki, trzeba, by nasi polscy przyjaciele wiedzieli dobrze, iż to były tylko pozory, i że nasze oczy, zawsze zwrócone ku Renowi, sięgają dalej, aż do Wisły, gdzie biją serca równo z naszymi.

By im dać poznać prawdę w tej sprawie pozwalam sobie napisać te słowa. Oby mój głos, mimo słabości, okazał Wam przyczyny, które powstrzymują teraz całą naszą działalność i naszą aktywność, i zdają się zmniejszać, nawet w oczach cudzoziemców - przyjaciół, nasze zainteresowanie sprawami międzynarodowemi.

*

* *

Sytuacja wewnętrzna Francji jest w tej chwili ciężka. Na nic się nie zda ukrywać to zarówno przed naszymi przyjaciółmi, jak i przed nami samymi; przeciwnie — uznać to, to dać sobie w ręce środki wygrania gry.

Kryzys finansowy, który nas dosięgnął, jest tylko jednem obliczem kryzysu, politycznego, którego rzeczywistość zaczynają wszyscy odczuwać. Zło nie zawsze jest jednakowo pojmowane, i różne środki zaradcze są wysuwane, ale wszystkie one są gwałtowną manifestacją przeciw parlamentowi, przedewszystkiem przeciw jego obecnemu składowi, ale głównie przeciw jego metodom i samej zasadzie.

W kraju, który przeżywa największy rozwój parlamentaryzmu, coraz silniejszy prąd się zaznacza przeciw bezsilności tych zgromadzeń. W miarę jak pokolenia, które odbyły wojnę, zdobywają wpływy i stanowiska kierownicze w sprawach państwowych, ten prąd się zaznacza. Wpływy dobroczynnej dyscypliny i autorytetu, które przeżyto na froncie, dają

się wyraźnie odczuwać. Poprzednie pokolenia są jeszcze dość przywiązane do dawnych zasad, dla nich wojna była anormalnem zjawiskiem, z którego żadnej nauki wyciągnąć nie można; przeciwnie, dla młodych to była okropność, ale też bohaterstwo, to było prawdziwe życie przed śmiercią, to było znaczenie władzy, która pochodzi od wodza, a nie od tłumu, wreszcie wielka lekcja, którą mieć będziemy przed oczami przez całe nasze życie.

Tak następuje scysja między dwoma pokoleniami, a ponieważ młode zrodziło się w wierze zwycięstwa, wszystko wskazuje, że ono zwycięży, gdy tylko się zgrupuje i zorganizuje. To właśnie tworzy się w obecnej chwili.

*
* *

Powiem w tej chwili, w jakich warunkach następuje ta mobilizacja dawnych kombatantów i ich młodszych towarzyszy; ale już tu chcę podkreślić, że kryzys obecny naprawdę opanował wszystkie umysły we Francji. Niema człowieka uczciwego, któryby się nie zajmował w większym czy mniejszym stopniu przyszłością kraju, a ta przyszłość nie zamyka się w obrębie dziesiątka lat — w ciągu kilku miesięcy musimy postawić reformę naszego ustroju; praca olbrzymia, przy której muszą współpracować wszystkie nasze elity, ale która będzie w połowie rozstrzygnięta w dniu, gdy będziemy uwolnieni od parlamentaryzmu. Dlatego też wielkie skupienie legło na wszystkich duszach w tych ośrodkach, gdzie powstają idee jutra, — i każe przewidzieć odruch woli, by wyjść z tego mauvais pas.

Nie dziwcie się więc, jeżeli zewnętrzne niebezpieczeństwa wydają się nam mniej pilne, i że dla ich oddalenia, staramy przedewszystkiem uwolnić się od innych niebezpieczeństw. I zrozumiecie łatwo, że Francuzi odwracają się nieco od tego, co się dzieje nie u nich. Kiedy ojciec jest chory, dzieci mniej się interesują losem swych towarzyszy.

Zbawienie naszego kraju będzie jutro mniej w mocy traktatów, a więcej w wewnętrznej organizacji politycznej, która uczyni naszą Francję potężniejszą i bez obaw przed groźbami naszych nieprzyjaciół. Nie omieszkaliśmy poznać tok obrad genewskich, ale nie mogliśmy ich stawiać na pierwszem miejscu naszych zainteresowań. Zresztą lud doskonale zdaje sobie tutaj sprawę, że Liga Narodów jest piękną nadzieją, ale nie można jej tylko powierzać pieczy nad naszem bezpieczeństwem. Ma on więcej zaufania do przyjaźni ludów, które walczyły z nim razem, a Polska jest w pierwszym rzędzie naszych przyjaciół.

*
* *

Oto przyczyny, dla których Francuzi tak są pochłonięci sprawami polityki wewnętrznej. Właściwie jesteśmy świadkami we Francji praw-

dziwej rewolucji pojęć politycznych. Kwestją jest tylko, kto stanie na czele ruchu i dokąd nas zaprowadzi. To pozwolę też sobie wskazać na zakończenie.

*

* *

Czy znacie Faszyzm? Tak się Wam pewnie zdaje; jednak, jeżeli sądziliście go według wiadomości z dzienników, pozwolę sobie przypuścić, że nie znacie jego istotnych czynników. W istocie, to we Włoszech objawił się faszyzm i przyjął formę najprostszą — formę dyktatury gwałtownej, jako koniecznej reakcji na gwałty komunistyczne; czynnik dyscypliny długo tam panował nad czynnikiem reorganizacji, ale pomału, choć się zagranica tego nie spodziewała, olbrzymia ewolucja nastąpiła w obyczajach i prawach. Rok 1925 był dla Włoch początkiem głębokiej ewolucji.

Polecam więc Wam szczególnie studjowanie tego kierunku, jeżeli macie po temu sposobność, — daje ono zrozumieć niebywałe podniesienie się ludu, którym dobrze kieruje, i w który wlewa entuzjazm jego wódz; — pozwala przewidzieć niejedną zmianę na przyszłość w równowadze europejskiej; wyczuwa się w niem to pokrewieństwo cywilizacji, które wznosi się ponad przypadłości dyplomatyczne, by łączyć ludy przez całe wieki, i chętnie widzę to nowe przymierze: Polska — Włochy — Francja, wyrosłe z tradycji chrześcijańskiej Słowian, Latynów i Gallów.

*

* *

We Francji faszyzm nie ma ściśle tego samego oblicza. Z jednej strony komunizm nie jest już niebezpieczeństwem dla nas od dnia, gdy wodzowie jego uznali za bardziej zyskowne sprzymierzać się z niektóremi stronnictwami rządowemi. [1]) Z drugiej strony potrzebujemy przedewszystkiem władzy zdolnej do reorganizacji naszego systemu politycznego, ekonomicznego i społecznego. Ten, ktoby wziął władzę, nie mając praktycznych rozwiązań dla wszystkich kwestji dziś otworem stojących, nie zachowa jej długo; ale grupa, która ma doktrynę, odpowiadającą sytuacji, potężną organizację, poparcie licznych adherentów napewno weźmie władzę i doprowadzi do skutku swe zadanie — reformy w kraju.

W tym celu powstał „Le Faisceau“. Oparty o siłę dawnych kombatantów, podtrzymany przez powszechną sympatję tych wszystkich, którzy czekają na zbawcę, jest jedynie zdolny, by dziś wziąć kierownictwo i nadać kierunek temu ruchowi reform, z którym będą współpracować wszystkie związki, powstałe dla służby interesowi narodowemu.

[1]) Niedawne wybory w Paryżu stwierdziły raz jeszcze to przymierze komunizmu z pewnemi grupami parlamentu. Sukces, który stąd wypływa dla komunizmu, nie będzie mu służył wobec robotników, którzy zrozumieli tę zdradę swych wodzów.

Jeżeli kombatanci są siłą przez swój duch braterstwa, swą energję, ofiarność, — to odpowiadają oni ekonomicznej funkcji i w życiu bieżącem są producentami (myśli czy materji, w kierownictwie czy w wykonaniu) i są wogóle głowami rodzin. W ten sposób są określone trzy istotne funkcje każdej jednostki i węzły, które ją łączą ze społeczeństwem, są to te węzły, którym „Faisceau“ chce nadać większe funkcje, powiększając ich możność czynu i dając im oficjalnie życie, które napełni nowym duchem maszynę państwową. Zgromadzenia producentów złączone w korporacje, zgromadzenia rodzin, złączone według gmin i dzielnic — oto dwie ostoje jutrzejszego rządu, z pomocą których będzie mógł postawić na nogi nasze finanse i doprowadzić do skutku od długich lat oczekiwane reformy.

Nie chcę Wam dziś przedstawiać całej naszej doktryny; przyjdzie dzień, gdy ta ewolucja dojdzie do Polski. Narazie chodziło mi tylko o powiadomienie Was o sytuacji w naszym kraju. Dość okazaliście miłości dla Francji, by mieć prawo zapytywać o jej zdrowie; wierzcie mi, że nie jest tak dotkniętą, jak sobie niektórzy tego życzą.

Francja wyjdzie zwycięzką z kryzysu, który przechodzi. Obejmie miejsce, które jej wskazują jej dzieje, by pociągnąć świat w bruzdę cywilizacji, — z pomocą swej przyjaciółki, — Polski.

Georges Ledoux,

b. Sekretarz Misji Reunion d'Eylau w Polsce.

KRYZYS POLITYCZNY WE FRANCJI. *)

Paryż, w lipcu.

Dziwny widok przedstawia Francja! Z jednej strony zjawisko znane pod nazwą „gorączki inflacyjnej“, wytwarza złudzenie dobrobytu, z drugiej zaś, coraz silniej występują wszelkie objawy, związane z podobnym stanem rzeczy. Więc zanik oszczędności, brak tak niezbędnego w życiu gospodarczem miernika wartości, zniszczone zaufanie, nietrwałość stosunków, a co zatem idzie, zaostrzenie konfliktów społecznych, oto kilka z pośród tych objawów. Przegląd wieści z Paryża czy z prowincji wypada nieszczególnie: wszędzie mniej lub więcej ostre strajki, zaburzenia, żą-

*) Odmienne od poprzedniego, bardziej pesymistyczne ujęcie daje nasz współpracownik o prądach życia francuskiego. Pomieszczamy je narówni, jako głosy z wewnątrz i z zewnątrz ufni, że konkluzja obu artykułów ziści się szybko dla dobra obu naszych krajów. *Przyp. Redakcji.*

dania podwyżki płac, wykorzystywane skrzętnie przez rosnących w siłę komunistów. Ale to nie wszystko. Cudzoziemcy z krajów o mocnej walucie, szczególniej zaś Amerykanie, Anglicy, czy ostatnio, Niemcy, wykupują poprostu Francję. Niezwykłą sensację sprawił zdemaskowany niedawno tajny okólnik jednej z wielkich firm amerykańskich, trudniących się pośrednictwem, okólnik zachęcający klientelę do masowego nabywania wszelkiego rodzaju nieruchomości we Francji, jako w kraju „nie znającym istotnej wartości swego majątku".

Oczywiście, że takie położenie nie może być policzone wyłącznie na rachunek wojny i jej następstw, czy też niedołężnej polityki poszczególnych rządów. Jakkolwiek powyższe czynniki odegrały bezwątpienia swą rolę, to jednak istotne przyczyny kryzysu tkwią głębiej, tkwią w podstawach ustroju społeczno- politycznego Francji, w kategorjach myślenia olbrzymiej warstwy ludzi. Innemi słowy: kryzys polityczny mniej widoczny, a trwający stale, sprowadził w ostatnich latach ostry kryzys ekonomiczno-finansowy, przyczem sam również przybrał swą ostrą formę.

Bo nikt chyba nie nazwie normalnemi stosunków, gdzie parlament, rozbity na „kanapy" polityczne, nieposiadające niemal wcale programu, nie może wytworzyć większości, gdzie rząd cały swój czas poświęca zabiegom nad utrzymaniem się na powierzchni, gdzie w ciągu roku gabinet zmienił się po raz czwarty, a minister skarbu po raz dziewiąty. Deputowani, myślący jedynie o zapewnieniu sobie reelekcji, otwarcie sprzedają rządowi swoje głosy, wzamian za takie lub inne ustępstwa. Armja, mimo ożywiającego ją ducha, mimo swej wysokiej wartości bojowej, zaniedbywana coraz gorzej i bezczeszczona na każdym kroku przez agentów niemieckich, zwiących się „antymilitarystami". Oficerowie po nocach pracują jako kelnerzy, stróże czy szoferzy, aby tylko móc nie ukazywać się w łachmanach. Cała elita umysłowo zarabiająca coraz mniej w porównaniu do innych zawodów, nie może zdobyć się na tworzenie nowych wartości, bogacących kulturę narodową, pogłębiających siłę duchową narodu.

Powyższy bilans rzeczywistości francuskiej jest z pewnością niekompletny, a tem samem zbyt pesymistyczny, ale podany został jedynie dla zorjentowania się, które dziedziny życia zbiorowego wymagają naprawy. Najbardziej aktualną jest w tej chwili sanacja finansowa. Po długim szeregu poprzedników była Francja uszczęśliwiona nowym „cudotwórcą" finansowym, w osobie p. Caillaux. Zarówno jego patetyczny program gubiący się w ogólnikach, jak i ogólny nastrój społeczeństwa, przypominają mocno nasz okres „sanacyjny" z przed lat 4 — 5-ciu.

Nie wdając się w zbyt szczegółową analizę poglądów, p. Caillaux, stwierdzić należy, że nie można było oczekiwać po nim nic dobrego, bo nawet głośno reklamowana zasada oszczędności, bez równoczesnego uwolnie-

nia od etatyzmu życia gospodarczego, nie wyda pomyślnych rezultatów. Zresztą powiększenia stawek podatków: dochodowego, i tak absurdalnego we Francji, oraz spadkowego, wyraźnie wskazuje drogę, którą kroczy p. Caillaux.

Ale sanacja finansowa stanie się tylko pustym dźwiękiem, jeśli zważyć, że, jak Francja długa i szeroka, nie słychać ani jednego głosu, któryby odważnie potrafił zażądać zmiany ustroju politycznego. Socjaliści i komuniści mają wprawdzie gotowe swoje recepty na uszczęśliwienie ludzkości, ale są one zbyt znane. Z drugiej strony widnieje konkretny, pozytywny program nowego ustroju, program „Action Française", oraz niezupełnie znany i niezbyt jeszcze sformułowany program faszystów p. Valois. Zarówno socjaliści jak i faszyści nie wahają się wyciągnąć wszystkich wniosków z doktryny antyparlamentarnej, ale mimo to żadną miarą nie można zaliczyć ich do ugrupowań wywrotowych.

Jeśli zważyć, że wszelkie, nawet, zdawałoby się, najbardziej nieoczekiwane, reformy nie mogą przyjść bez uprzedniego przygotowania umysłów, bez poważnej dyskusji uczonych, czy ostrych polemik polityków, słowem, jeśli stwierdzić, że naprawy ustroju nie przeprowadza się z dnia na dzień, to wówczas jasnem się stanie, że Francja do podobnej reformy jest nieprzygotowana.

Wprawdzie krytyka ustroju obecnego może być uważana jako pierwszy krok na tej drodze, ale krytyka ta istniała i istnieć będzie zawsze, bo wypływa z zasadniczych właściwości umysłu francuskiego, skłonnego do ośmieszania wszystkiego i wszystkich. Choć nawet tu i owdzie odezwały się głosy, że konstytucja z r. 1875 nie jest bez zarzutu, chociaż wszyscy niemal zdają sobie sprawę z licznych jej ułomności i nieprzystosowania do życia, ale wszystko to czynione było tylko o tyle o ile nastręczało sposobność do powiedzenia nowego *bon mot*. Choć w prasie fachowej i w poważnych dziennikach ukazywały się niezwykle trafne uwagi o wysiłkach w tym kierunku zagranicą, np. o zmianie konstytucji u nas, ale pomimo to ani koła polityczne, ani tak bierna inteligencja, ani sfery ściśle naukowe, nie wypowiedziały się w tej kwestji, a tem bardziej nie wypracowały żadnego projektu.

Niezwykle rzadkim w tej mierze wyjątkiem jest p. Charles Benoist, znany polityk i publicysta, członek Ac. des Sciences Morales et Politiques, posiadający za sobą piękną przeszłość, w postaci walki z antyreligijną polityką Combes'a, który już w r. 1899 ogłosił swą pracę, pod znamiennym tytułem „La Crise de l'Etat moderne". Poglądy jego streszczają się w żądaniu silnej władzy dla Głowy Państwa, oraz zastąpienia Izby Niższej przez ciało w rodzaju Senatu włoskiego, Izby Wyższej zaś przez zgroma-

dzenie odpowiadające Radzie Stanu, według polskich projektów zmiany Konstytucji.

Należy jeszcze zanotować dość pesymistyczne, ale bliżej niesprecyzowane poglądy znanego publicysty francuskiego, ukrywającego się pod inicjałami L. L., a posiadającego w najpoważniejszym dzienniku „Le Temps“, stały dział p. t. „Opinions de province“.

Pozatem szczytem marzeń przeciętnego Francuza jest sławna „union sacrée“ z wielu względów przypominająca naszą ś. p. koalicję. Wprawdzie faszystowski „programme de Verdun“ zaczyna zyskiwać również wielu zwolenników, ale już sam fakt, że zawiera się w siedmiu zdaniach, nie świadczy o nim pochlebnie. Zresztą poza stwierdzeniem przeżycia się parlamentaryzmu, oraz żądaniem oddania władzy w ręce szefa „proclamé par les combattants et acclamé par le pays“, nie zawiera ów program nic konkretnego. A jeśli do tego stanowiska szefa p. Valois rezerwuje dla siebie, to trzeba stwierdzić, że faszyzm francuski nie pozostaje w żadnym stosunku do włoskiego. Nawet słynne zgromadzenie w Reims, odbyte dn. 27 czerwca r. b. nie przyniosło nic konkretnego. W powodzi patetycznych przysiąg, deklaracji, wykrzykników, zgubiło „Le Faisceu“ swój cel.

Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak rozpatrzeć, choćby w grubych zarysach mało znany program Action Française.

Dziedziczna monarchja, antydemokratyczna, Stany Generalne, złożone z przedstawicieli życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego, zamiast parlamentu, reforma administracji w duchu decentralizacji, oto jego wytyczne. Program powyższy, opracowany niesłychanie drobiazgowo, tworzy pomimo to piękną całość, organicznie związaną. Nie jest wynikiem kompromisów politycznych, ale rezultatem głębokiej pracy poważnych intelektualistów, bynajmniej nie doktrynerów.

Chociaż program ten posiada wielu przeciwników, to jednak cieszy się pewnym szacunkiem, o czem świadczy choćby powoływanie się nań w debatach parlamentarnych. Z punktu widzenia ostatnich wyników nauki o państwie, niewiele możnaby mu zarzucić, przyczem należy zaznaczyć, że wiele projektów Mussoliniego, nie mówiąc już o włoskiej doktrynie nacjonalistycznej Coppoli, Federzoniego i in., zostało sformułowanych pod wyraźnym wpływem haseł A. F.

Nietylko program, ale i metody A. F. budzą powszechne zainteresowanie, ze względu, iż zarówno tu i jak tam linją wytyczną jest hasło „Politique d'abord!“ Nie znaczy to bynajmniej, aby niedoceniano znaczenia innych czynników, ale, logicznym wynikiem odrzucenia wszelkiego materjalizmu było uznanie sił duchowych za decydujący czynnik. W związku z tem i dzisiaj np. z większą, niż kiedykolwiek słusznością głosi A. F. to

hasło, uzależniając wynik reformy finansowej od przeprowadzenia reform politycznych. Jednak mimo, że A. F. z samozaparciem nieraz stara się wpoić w rodaków swych te stare prawdy, mimo doświadczeń, zarówno dawnych, jak i współczesnych, o demokracji francuskiej powiedzieć można, że „elle n'a rien apprise et rien oubliée“.

A jednak wierzymy mocno, że bratni naród francuski prędzej czy później, a im prędzej, tem lepiej, obudzi się z letargu i wejdzie na drogę niezbędnych zmian w ustroju swego życia zbiorowego.

Kazimierz Zdziarski.

Sprawozdania i krytyki.

RÊVE ÉVEILLÉ.

Niemal wszystkie ataki skierowane przeciw katolicyzmowi, wszystkie pseudo-naukowe wywody jego wrogów, starały się wykazać, że religji katolickiej, jej dogmatów nie można pogodzić z nauką, z rozumem, że rolę w niej dominującą odgrywa czynnik uczuciowy, mniej lub więcej subjektywny. Zwłaszcza od chwili ukazania się szkoły materjalistycznej, dogmaty jej mistrzów zyskiwały coraz więcej zwolenników swą pozorną ścisłością, opartą na eksperymentach.

Twórcom tych teoryj, obojętnym był fakt, że katolicyzm liczył wśród swych wyznawców największe umysły ludzkości, że system filozofji katolickiej przetrwał niewzruszenie wieki całe, że wreszcie upór ich własny i bezkrytyczne stosowanie formuł, prowadzi do tak potwornych wniosków, jak negacja duszy ludzkiej.

Na szczęście okres ten jeśli nie minął, to ma się już ku końcowi. Pomimo to od czasu do czasu „podziemne“ siły dają rozkaz do ataku, mniej lub więcej wyraźnie skierowanego przeciw katolicyzmowi. Parę miesięcy temu, siedemdziesiąta rocznica urodzin Freuda, twórcy metody psychoanalitycznej dała okazję do reklamy tej „wielkości“.

Pisma całego świata zamieściły sążniste artykuły, poświęcone Freudowi i jego doktrynie. Oczywiście, na Polskę zwrócono szczególną uwagę, tak zręcznie biorąc się do rzeczy, że nawet organy naszej prasy, skąd-

iną d bardzo poważne i cieszące się ogólnem zaufaniem, dały użyć się jako narzędzie antykatolickiej propagandy. Z tego względu, sądzę, iż wskazanem będzie zwrócić uwagę polskich czytelników na ostatnią książkę L. Daudet'a, [1]) poświęconą tej sprawie.

„Rêve éveillé" to trzecia książka Daudet'a z serji filozoficznej. „Heredo" i „Monde des Images" zbyt wielkie uznanie zdobyły sobie nietylko wśród specjalistów, ale i wśród szerokiej publiczności, aby trzeba było je zadawalać. „Rêve éveillé" zdobył również publiczność francuską wstępnym bojem.

Wiele na to złożyło się przyczyn. Przedewszystkiem język. Wspaniała proza, dorównywująca niemal Bourget'owi i Maurras'owi, iskrząca a błyskotliwa, ostra, jak pchnięcia szpady, i jak one niebezpieczna. Daudet — polemista jest tu w swojem żywiole. Rzuca się odważnie na przeciwników (Freud, Feuerbach, Marx, Nietzsche, Bergson) i nielitościwie burzy nietrwałe tkaniny ich koncepcji. Czyni to zaś w sposób równie ścisły, jak prosty, z przysłowiową lekkością francuską, traktując o rzeczach pozornie zawiłych.

Wreszcie na ruinach i zgliszczach teoryj materjalistycznych, wznosi Daudet gmach nowy, odnowiony raczej, nieśmiertelny gmach doktryny katolickiej. Że nie jest to jego oryginalna koncepcja, że w pracy swej opierał się na dziełach św. Tomasza, świadczy o tem nazwanie swej książki przez autora „simple exposé" zasad katolicyzmu. *„Szkole fizjologicznej i patologicznej interpretacji stanów i poruszeń naszego umysłu, temu niezdrowemu neomaterjalizmowi Freuda, Hadelock-Ellis'a i ich adeptów, przeciwstawiliśmy pewniejszą metodę bezpośredniej introspekcji i zdrowego umysłu"*.

Jeśli chodzi o treść, o pozytywne twierdzenia Daudet'a to wolę oddać głos tak wybitnemu znawcy literatury francuskiej jakim jest piszący w Rappel:

„Jest to dzieło krytyczne, skierowane przeciwko temu wszystkiemu, co możnaby nazwać metafizyką materji i metafizyką systematycznego wątpienia...

„Dotychczas, wszyscy autorzy, piszący o marzeniu, uważali je wyłącznie za atrybut snu. L. Daudet wykazuje, że marzenie jest nieustanne, nieprzerwane, jedynie podczas jawy, jest ono kierowane przez zdolność sądzenia, płomień boski.

„Dowodzi również, że preokupacja śmiercią, a nie kwestje seksualne („libido" Freuda) jest podłożem marzenia, oraz że po tej preokupacji, następuje preokupacja nieśmiertelnością duchową".

---

[1]) Leon Daudet de l'Academie Goncourt *„Le Rêve éveillé"*, Paris. mars 1926, copyright by Bernard Grasset.

Co jest specjalnie interesującem w tej książce, to krytyka krytycyzmu oraz sceptycyzmu, i obfitość konkretnych przykładów; „Rêve éveillé“ jest książką żywą, a powiew zdrowej afirmacji sprawia, że jest dziełem ze wszech miar „budującem“.

Wypada jeszcze słów parę poświęcić autorowi, bo Leon Daudet nie jest postacią codzienną. Syn powieściopisarza Alfonsa, od najwcześniejszej młodości po dzień dzisiejszy, był naprawdę człowiekiem „czynu“. Za przykład niech nam posłuży przegląd jego działalności w ciągu *jednego* roku (ostatniego): proces o zabójstwo syna, Filipa; dzieło medyczne „L'homme et le poison“; dzieło literackie „Un jour d'orage“; polityczne „L'agonie du régime“; filozoficzno-psychologiczne „Rêve éveillê“; kampanja wyborcza w Maine-et Loire, nie biorąc pod uwagę niezliczonych odczytów, wykładów, a wreszcie codzienny artykuł w „Action Française“.

Świadczy to również o rozległości jego zainteresowań i ogromie posiadanej wiedzy. Z zawodu lekarz, z temperamentu publicysta, z zamiłowania polityk, wreszcie filozof, pisarz, psycholog, smakosz, poeta. A w żadnem ze swych zajęć nie jest dyletantem. Nie dziw też, że jest niesłychanie popularny, bez względu na to, że przekonania polityczne przysparzają mu wielu nieprzyjaciół.

Ta popularność, oraz wysoka wartość wszystkich jego dzieł, zobowiązują niemal kulturalne warstwy polskie do zapoznania się z niemi. Tembardziej, że jest to prawie wszystko, a „Rêve éveillé“ w szczególności, wyborną bronią przeciw ateistyczno-materjalistycznym napaściom na katolicyzm, bronią, za którą winniśmy być mu szczerze wdzięczni.

K. Zdz.

HISTORJA CHŁOPÓW POLSKICH.

Aleksander Świętochowski. „Historja chłopów polskich“ w zarysie. I. W Polsce Niepodległej. Lwów—Poznań 1925 r. Nakładem Wydawnictwa Polskiego 523 str.

Do opracowania „Historji chłopów polskich“ Al. Świętochowskiego skłoniła ta okoliczność, że po wyzwoleniu Polski, chłopi wysunęli się na pierwszy plan jej życia politycznego, a chociaż nie odgrywają w niem dotąd roli tak czynnej, jak w innych krajach, jednakże już nie cofną się z obecnego stanowiska i nie zostaną odparci od ważnego i bardzo pożądanego udziału w dalszej historji narodu. Wobec tego stało się dla nich i dla społeczeństwa niezbędnem rzucenie światła w pokrytą mrokami ich przeszłość. Dotychczasowe opracowania ich dziejów dalekie są od współczesnych wymagań nauki historycznej. „Historja włościan“ (1874) W. A. Maciejowskiego, jest zbiorem luźnych notat. „Włościanie u nas i gdziein-

dziej“ (1881), W. Przyborowskiego, są pośpiesznie sklejoną z kilku książek kompilacją. „Historja włościan w Polsce“ (1910) A. Marylskiego-Łuszczewskiego, zakrojona na szeroką miarę, obejmuje zaledwie czas do XIII wieku. Poza temi pracami wydano szereg broszur właściwie z wielkiemi tytułami: K. Gorzycki: — „Zarys historji chłopów w dawnej Polsce“ (1902, str. 105), J. Nowakowski — „Historja włościan w Polsce“ (1922, str. 126), A. Próchnik — „Dzieje chłopów w Polsce“ (1922, str. 70). W „Przeglądzie Poznańskim“ i „Przyjacielu Ludu“ (1836), w „Kronice emigracyjnej“ (1839), w „Dzienniku Literackim“ (1863) i w „Orędowniku“ (1878) pomieszczono jedno lub kilkonumerowe artykuły, jako historję chłopów, świadczące o słabem przygotowaniu ich autorów, które mają taką wartość, jaką miałaby geografja, napisana z wysoko lecącego i chmurami przesłoniętego aeroplanu.

W pracy, której pierwszy tom ukazał się w druku, autor postarał się zgromadzić ze źródeł ogłoszonych, monografij i różnych przyczynków, obejmujących łącznie około półtora tysiąca druków, całkowity materjał, odnoszący się głównie do prawno-społecznej i materjalnej strony życia chłopów. W ten sposób powstało dzieło większej objętości, nacechowane pewnemi zaletami stylistycznemi, dzięki którym, a zwłaszcza nazwisku autora, jego „Historja chłopów“ pozyskać może licznych czytelników. Pozostawiając krytykę tego dzieła historykom fachowym, ograniczymy się do tych spostrzeżeń krytycznych, jakie nasunęły się nam przy czytaniu tego dzieła zasłużonego w naszem piśmiennictwie narodowem pisarza.

Pracy swej nie potraktował Świętochowski jako historji chłopów samej w sobie. Oczywiście, nie może być ona oderwana od ogólnych dziejów Polski, ale traktowanie jej, w myśl powiedzenia Bobrzyńskiego, że „historja chłopów polskich jest właściwie historją szlachty w stosunku do chłopów“, grozi wysunięciem na plan pierwszy — dziejów szlachty. Książka Świętochowskiego wielokrotnie więcej mówi o szlachcie, niż o chłopach. Plemienne cechy ludu polskiego, gwary regjonalne, budownictwo, zdobnictwo, wierzenia, zwyczaje i t. d. zostały w zupełności przez autora pominięte.

Historja samorządu wioskowego nie została przez autora rozwinięta tak, jak instytucja na to zasługuje, i jak to może uczynić sumienny popularyzator, za jakiego się ma Świętochowski, na podstawie badań Piotra Górskiego, Balcera, Ulanowskiego, Rafacza, Sochaniewicza. W kwestji teorji najazdu i opartem na niej plemiennem rozróżnianiu chłopów i szlachty, — tej ostatniej, jako potomstwa Normandów, — Świętochowski zajął wahające stanowisko, właściwie jedynie pod wpływem Gumplowicza, wbrew bardziej miarodajnej opinji Balcera, Tymienieckiego, Haleckiego i Marylskiego.

Uczucie szczerej sympatji dla ludu wiejskiego, skłania nieraz Świętochowskiego do wypowiadania zbyt surowych sądów o szeregu osobistości szlacheckich — wojewodzie poznańskim Gozdzkim, ks. J. Jabłonowskim, A. Małachowskim, ks. J. K. Czartoryskim, właścicielu Korca, Tomaszu Stanisławie Wolskim, admirale floty rzymskiej, jen. Konarzewskim i wielu in., którzy obok bujności temperamentu, próżności, pewnych dziwackich skłonności do pijatyk, wykazali nieraz niepowszedni stopień wykształcenia i krzątając się dookoła podniesienia przemysłu lub fundowania zbiorów naukowych, pisania książek i t. d., zasługują, od historyka zwłaszcza, na sąd bardziej bezstronny i jaśniejsze barwy w sumarycznem traktowaniu. Rady i nauki, zawarte w takiej „Ekonomice Ziemiańskiej" J. K. Haura, również powinny zaważyć na szali oceny ostatecznej rozkładu społeczeństwa szlacheckiego.

W obecnym stanie dzieło Świętochowskiego w niektórych rozdziałach jest niedobudowane, w innych przebudowane, i to głównie streszczeniem potężnej literatury szlacheckiej, poświęconej obronie doli chłopa polskiego.

Charakterystyka średniowiecznych stosunków na Zachodzie zupełnie się nie udała Świętochowskiemu. Twierdzenia takie np.: „rodzina średniowieczna nie była parzystą; jej monogamizm był względny" (str. 39), lub „Kościół zabierał łóżko po zmarłym" (str. 25), oparte na pozbawionych dziś jakiejkolwiek naukowej wartości pracach Lemayrie'a i Bonnemère'a z r. 1856, kompromitują poprostu sławę zasłużonego skądinąd pisarza. Dziwna tu zaiste nierówność w ocenie rodzimych prac, wspomnianych na początku recenzji, jako kompilacyj i pilnem przytaczaniu z obcych niewątpliwych kompilacyj wszystkiego, co może służyć ku większemu zohydzaniu Kościoła! Oczywiście, że i w stosunkach polskich autor gdzie da się tylko wytyka duchowieństwu błędy i zachłanność, a o całokształcie dodatniego wpływu Kościoła na stosunki społeczne zdaje się nic nie wiedzieć. Ten błąd kardynalny czyni miejscami z pracy historycznej pamflet namiętny, którego czytanie dojrzałemu umysłowi nie zaszkodzi, lecz w niejednym wypadku odniesie skutki, których autor sam świadomie nie szukał, a jednak niechybnie osiągnął, dzięki zgóry ujemnej ocenie wpływu Kościoła katolickiego na stosunki społeczne.

Wobec tego żadną miarą dzieło Świętochowskiego polecone być nie może tam, gdzie chodzi o popularyzację *prawdy* historycznej, a że wyniku jakichś samodzielnych badań znaleźć w nim nie sposób, — luka w tej dziedzinie historji ojczystej przez ukazanie się I-go tomu „Historji chłopów polskich" Świętochowskiego usuniętą nie została.

Amanuensis.

NA MARGINESIE SPRAWY WŁOŚCIAŃSKIEJ W MAŁOPOLSCE.

Leży przed nami broszura „Sprawa Włościańska a Polskie Stronnictwo Chrz.-Demokracji“, opracowana przez sekretarjat krakowskiej Ch. D. Nie będziemy tu omawiali politycznych poglądów dziełka. Uderza nas ona jako przejaw wciąż w Małopolsce palącej kwestji włościańskiej, jako zgromadzenie ciekawego materjału, jako wyraz nowych zainteresowań w ruchu katolickim.

Broszura pisana prosto i rzeczowo. Odbija ona wśród dyletantyzmu naszego życia politycznego, gdzie się sądzi o wszystkiem z gazet, statystyk, rzadziej z książek. Jedną z typowych cech naszych polityków jest ich nieznajomość stosunków w dzielnicach, z których nie pochodzą, — a w jeszcze większym stopniu cechuje to resztę społeczeństwa. Stąd płyną niewątpliwie i krótkowzroczność, i fatalne nieraz błędy naszej polityki, bo przecież stosunki poznać i zrozumieć można tylko przez nieustanny kontakt osobisty, nigdy na odległość. Ta prawda, napozór prosta dla społecznika, tak jednak często jest u nas zapoznawana.

Tem też rzadszą jest fachowa broszura polityczna. Fachową, bo oparta na faktycznej znajomości stosunków małopolskich, jest omawiane dziełko, choć niezbyt jasno swój regjonalny chorakter akcentuje. I chcemy tu na marginesie parę luźnych uwag rzucić w związku z tak palącą kwestją rolną, i tak wciąż po dyletancku rozwiązywaną, a która w Małopolsce Zach. ma zupełnie swoiste, odmienne oblicze. Zwykle łączy się stosunki rolne w Małopolsce Zach. i Królestwie, jako podobne, i na ich podstawie, na statystykach buduje się całą teorję, na której się opierają ustawy. Tymczasem w Wielkopolsce kwestji rolnej faktycznie niema, na kresach łączy się ona ze sprawą mniejszości. Mimo to, na zasadzie pokrewnych potrzeb Małopolski i Królestwa stworzono ustawę dla całego państwa, błędnie zakładając, że przynajmniej w tych dwu dzielnicach stosunki są identyczne. Sądzimy, że tu był błąd, który fatalnie zaciążył na wszystkich próbach wprowadzenia w życie reformy agrarnej. Wzięto powierzchownie cyfry statystyk, zapoznano czynniki drugorzędne, obostrzające i łagodzące stosunki, które nadają w istocie inny charakter kwestji rolnej w Królestwie i w Małopolsce.

Wystarczy przytoczyć kilka przykładów.

Ziemia w Małopolsce jest naogół gorsza, niż w Królestwie, co obostrza kryzys.

W Małopolsce stale niszczą plony wylewy rzek i rzeczułek górskich, czego Królestwo nie zna. Są to skutki rządów austrjackich.

W Małopolsce rozdrobnienie jest znacznie większe 64% małorolnych, karłowatych gospodarstw na 16% obszaru Podgórza, w Królestwie

79% na 29% powierzchni, w dodatku w Królestwie wielu małorolnych w okręgach przemysłowych żyje z przemysłu, gdy w Małopolsce siedzą po wsiach w nędzy *).

W Małopolsce Zach. jest bardzo mało majątków średnich i drobnych, które zostały rozparcelowane między żądną ziemi ludność jeszcze przed wojną, natomiast pozostały tylko latyfundja, które nie parcelują. Natomiast w Królestwie przeważają majątki drobne i średnie. Stąd różnica w życiu praktycznem.

Silnem jest też w Małopolsce różnicowanie kulturalne i wieś jest pogrążona w biedzie i ciemnocie, gdy obok istnieje wielka kultura. Niema tak jaskrawych przedziałów w Królestwie. Stąd silniejsze są w Małopolsce antagonizmy socjalne, tem bardziej, że rok 1846 nie wyszedł z pamięci obu stron. O tem, że on po dziś dzień żyje, trzeba pamiętać. Stąd płynie brak współdziałania stanów na wsi, nieufność wzajemna, brak obywatelskiego wyrobienia ludu. Wielką na siebie wzięło odpowiedzialność ziemiaństwo galicyjskie, gdy nie chciało popierać prac Wielogłowskiego. Gdy w Królestwie twardy ucisk rosyjski doprowadził do współdziałana dworu i wsi, do nawiązania dobrych nieraz stosunków i do podniesienia włościanina i jego narodowego wyrobienia — w Małopolsce Austrja zręcznie pogłębiała przedział, wykopany przez okropną rzeź, i popierając ziemian, wieś trzymała w ciemnocie. Machinacje długich dziesiątków lat doprowadziły do zupełnego marazmu i nieufności do ludzi inteligentnych po wsiach, a z drugiej strony nauczyły ją liczyć na państwo i tylko na nie. Tak w myśl divide et impera, „szczęśliwa Austrja" rządziła w Galicji. I wielkie, o ile odmienne niż w innych ziemiach zadania stają przed ruchem narodowym w Małopolsce Zach. Trzeba odbudowywać jedność społeczeństwa, zdradziecko rozbitą przez zaborcę. I pod tym też kątem widzenia, nie tylko pod kątem materjalizmu ekonomicznego trzeba rozważać kwestję reformy rolnej w Małopolsce. Inne tu są zadania, niż w Królestwie, czy Wielkopolsce, i inaczej też do ich rozwiązania stawać trzeba.

Ciekawe ujęcie zadań społeczeństwa znajdujemy w omawianej broszurze. Nie ma tam prawie mowy o ustawach agrarnych. Jest tylko ogromnie silny nacisk na samopomoc ludności wiejskiej i samodzielne z jej strony rozwiązywanie trudności gospodarczych, przez spółdzielnie, oświatę fachową etc. Z ujemnych ocen rozprawki jasno biją te przeżytki niewoli, z których się wieś małopolska jeszcze nie wyzwoliła. W kraju, gdzie *wszystko* było wolno, ale *nic* robić nie było można, musiał się wkraść do społeczeństwa marazm i oczekiwanie na to, co państwo zrobi. Nie są wolne od tego nastroju, znanego i gdzieindziej, ani ziemiaństwo, ani inte-

*) W Małopolsce na gospodarstwo małorolne przypada o $^1/_3$ mniej ziemi, niż w Królestwie.

ligencja, ani miasta, a tem bardziej wieś. Jest bezwarunkowo gorzej, niż na „Wschodzie“. Wszystko tkwi w bezwładzie, i w żydowskich pętach. Staje problemat obudzenia tego społeczeństwa, tak patrjotycznego skądinąd, do intensywnej pracy narodowej, zadanie najcięższe obozu narodowego w Małopolsce. Drogi jego nie są łatwe.

Bo kraj, a wieś w szczególności zniechęcone są do organizacji. Wyzysk partji i nieuczciwych obrońców zniechęcił lud do stowarzyszania się. Nikomu dotąd nie udało się zorganizować robotników rolnych, bo ci niechcą płacić żadnych składek. Ciekawe uwagi podaje broszura o stosunku ludu do partji — jest ona dlań drogą uzyskiwania dóbr materjalnych od państwa. Obok tego krzewi się nieufność do innych warstw. Po miastach taki sam duch klasowy wżera się w społeczeństwo i taka sama bierność, z trudem dziś przez ruch chrz.-społeczny przełamywana. Wśród inteligencji i ziemiaństwa panuje teoretyzowanie, niewiara w swe siły, oglądanie się li tylko na państwo, i zupełny niemal brak zmysłu organizacyjnego. Przebudzenie, dzięki pracy kierunków narodowych, jest zbyt jeszcze małe wobec wielkich zadań, w niepodległej Polsce. Wobec nieodzownej konieczności pracy jest tylko jedno wyjście: wychować całe nowe pokolenie w duchu chrześcijańskim i narodowym, w myśli o pracy społecznej. Jest to możliwe: Stow. Mł. Polskiej i inne rozwijające się w Małopolsce Zach., dają rękojmię tego wychowania. To wychowanie musi objąć wszystkie warstwy, by całe społeczeństwo mogło stanąć do pracy. A bezsprzecznie zadań jest wiele: zaniedbane i zażydzone miasta wymagają naprawy, trzeba gospodarczo i kulturalnie podnieść wieś, aby umożliwić rozwiązanie kwestji agrarnej. Jest to najważniejsza w Małopolsce kwestja społeczna, gdyż przemysł prawie nie istnieje.

Ale myśl samopomocy wsi, tak nieodzowna i tak konieczna, nawet w pełni zrealizowana — nie wystarczy. Musi być w kwestji rolnej w Małopolsce ingerencja państwa, ale inaczej normowana niż gdzieindziej. Są tu bowiem odmienne kwestje, jak np. dóbr gminnych i ich losu, małorolnych jest tak dużo, że dla racjonalnego uzdrowienia stosunków, nawet przy warunkach dzisiejszej ustawy, trzeba pewną część ich wywłaszczyć i od roli oderwać — tak zrobili Niemcy na G. Śląsku. Jest kwestja losu tych wywłaszczonych. I tu, w związku z przeprowadzeniem reformy rolnej w Polsce warto się zastanowić nad myślą, rzuconą przez obecny rząd prof. Bartla: szeroki samorząd dzielnicowy. Powiedzielibyśmy nawet: statuty dzielnicowe, jak ów śląski, który tak dobrze zdał egzamin. Dałyby one bezwarunkowo gwarancję racjonalnego i szybkiego uporządkowania stosunków w poszczególnych dzielnicach, a nawet w razie zawarowania przewagi Polaków, — na kresach. Regjonalizm jest w gruncie rzeczy ruchem zdrowym, i czego, jak czego, ale centralizacji à outrance wobec Małopolski czy Wielkopolski zrozumieć nie można. Jest to pogoń za jakąś szko-

dliwą fikcją, jakieś spacery na Pegazie tam, gdzie trzeba jechać po ziemi, i to wyboistej. Sądzimy, że wobec nierównomiernego rozwoju poszczególnych dzielnic lepiej dać im możność emulacji w spontanicznym, związanym z podłożem postępie, niż niwelować je według centrum państwa, skracając czy wydłużając je, jak w bajce. Takie też regjonalne zadania ogromnej wagi ma przed sobą Małopolska, i z doświadczeń dotychczasowych stwierdzić trzeba, że tylko ona potrafi je rozwiązać. Kwestja statutów regjonalnych, normujących pewne uprawnienia, przekazane przez władze centralne, nie może zejść i nie zejdzie z porządku dziennego.

Sądzimy, że na tej też drodze leży najlepsze rozwiązanie kwestji rolnej w Małopolsce. Może w realnej pracy nad podniesieniem kraju zatrą się i złagodnieją antagonizmy klasowe i stanowe, może też otworzą się na życie oczy szerokich warstw wykształconych, dziś zatopione w bezpłodnych liberalno-konserwatywnych figlikach atletów bezsilności polskiej i polskiego zwątpienia, nad którymi życie tyle razy przeszło do porządku — bez żadnej dla nich nauki. Z tego to ducha wypływa negacja pracy społecznej i wyraźna wprost niechęć do ludu, z którą raz wreszcie w imię dobra narodu trzeba by zerwać. Bo ostatecznie dziś w tym ludzie rośnie pokolenie, które zwątpiło o demagogicznych hasłach, i na realnej drodze będzie szukało rozwiązań. I przyjść może chwila, że rzucić będzie można most spalony w ogniu bratobójczej rzezi. Może to chwila odległa, ale dla niej już dziś pracować trzeba, bo sądzimy, że bez nawiązania duchowej więzi między stanami na wsi małopolskiej, — nigdy kwestja socjalna nie będzie tam rozwiązana.

Kwestja rolna nie jest w Polsce ani zamknięta, ani wyczerpana. I cennym przyczynkiem jest tu broszura krakowskiej Ch. Demokracji. Znamionuje ona dalszy krok w dziedzinie, w której tak pięknie zapoczątkował dyskusję w r. 1922 O. Jan Rostworowski na łamach „Przeglądu Powszechnego“. Sądzimy, że jednak zagadnienie reformy rolnej zbyt jeszcze słabo jest z punktu widzenia katolicyzmu oświetlone, i że z radością witać trzeba ten nowy, nie ostatni pewnie, przejaw katolickiej myśli społecznej.

K. G.

KORESPONDENCJE.

Wilno, 30 czerwca.

Ostatnia nasza korespondencja, zakończona Akademją w Uniwersytecie ku czci Kardynała Merciera, wysłana była jedenastego maja, a więc w przededniu strasznych wypadków, co wstrząsnęły Polską i Wilnem.

Sen to był czy jawa te szeregi zbrojne, sunące, jak mary potępieńcze nocą ulicami miasta ku „pomocy" stolicy! Ku pomocy czemu? Komu?

Gorączkowe dni nie miały zda się końca. Chwytano na ulicach w lot dodatki nadzwyczajne. Na jednych twarzach rozpacz i ból, na innych radość i chichot.

Skończyło się.

Ciemny, bezmyślny, różnojęzyczny tłum, urządził wrzaski nieludzkie, wiwatując po ulicach, aż się w to wdać musiały władze bezpieczeństwa.

A po kościołach nabożeństwa żałobne i błagalne i płynąca pod stropy świątyń pieśń z ust tysięcy: „Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny, Zmiłuj się nad nami!"

Potem, potem już tylko trumny lotników wracające do Wilna ze szczątkami tych, co spełnili obowiązek względem Ojczyzny do ostatka. Jakaś wiotka postać cichutko zemdlona nad świeżą mogiłą, jakieś silne ramię męskie wynoszące ją z cmentarza. Stos kwiecia, łzy w oczach nieomal wszystkich i drżący głos kapłana, śpiewającego Recquiescat in pace.

I to już wszystko.

Życie pozornie wraca do norm. Mówię pozornie, bo wypadki majowe zadały ranę ciężką Ojczyźnie, ranę ropiącą, co sprowadza nieraz zakażenie całego organizmu. Patrzymy i milczymy.

Teatr. Reduta instynktownie wprost szuka leku na zbiorową mękę ducha. Gdzież go znajdzie, jeśli nie w skarbnicy wieszczów naszych.

— Więc Słowackiego „Książę Niezłomny" w oświetleniu pochodni, jak wizja z lepszego świata rozwijać się będzie w olbrzymim Uniwersyteckim dziedzińcu Piotra Skargi, na tle murów kościoła, na tle wspaniałych arkad, okalających dziedziniec.

Książę ginie w łańcuchu niewolnika, ale Ojczyzny nie zdradza!

Przy kasie tłok przez długi szereg dni. Słychać szept: „Stachu! jeżeli chcesz iść dziś ze mną na Księcia — spraw sobie kurtkę cywilną, inaczej ja z tobą nie pójdę, ja się wstydzę, wstydzę".

I Stach posłuszny dziś żonie, sprawia kurtkę cywilną. Jakie to straszne.

W dzień Bożego Ciała nieprzeliczone tłumy zaleją ulice miasta — setki sztandarów organizacji społecznych, szkolnych, akademickich, las chorągwi kościelnych, cechowych, ołtarzyków bractw różnych posuwać się będą przez miasto z pieśnią od ołtarza do ołtarza umajonego kwieciem nazewnątrz kościołów.

W tem jest cały naród skupiony od wieka i nic tu agitacje najbardziej wywrotowe zdziałać mimo zakusów — nie mogą.

Koniec roku szkolnego znaczą wystawy szkolne, zaczynając od szkół powszechnych, zawodowych, aż do średniego szkolnictwa i uniwersyteckiego wydziału sztuk pięknych.

Pomysłowość i twórczość zauważyć się daje wszędzie.

Zjazdy i wycieczki, to też żniwo letnie. Tych ostatnich mniej w obecnym sezonie. Paraliżująco oddziałały wypadki majowe, z powodu których na Zjazdach Geologów, a wpierw na Uniwersyteckim Zjeździe Polonistów nie wszystkie dzielnice się stawiły. Zjazd ów uchwalił uczcić uroczyście w przyszłości w Wilnie, narodziny polskiego romantyzmu.

Miasto znów skupiło na Zjeździe Hygienistów kilkuset uczestników z pokaźną liczbą uczonych, pracujących na tem polu.

Był jeszcze okręgowy Zlot Sokoła, co odmówił udziału w Słowiańskim Zlocie Sokołów w Pradze Czeskiej, z powodu projektowanych tam jednocześnie uroczystości husyckich. Sokoli wileńscy w przemarszu z Katedry do swego gniazda rozjaśnili ulice miasta zuchowatą postawą i barwnym strojem druhów i druhen.

Nikle natomiast wypadł Zjazd Strzelca. Społeczeństwo samorzutnie odeń się odsunęło, mimo dwubarwnych afiszów, głoszących cuda. Ani do urzędowego Kościoła, ani na Akademję nie przyszedł literalnie nikt poza oficjalnemi osobami. Wiało pustką.

Natomiast tegoż dnia i w tej samej sali Śniadeckich świetnie się udał pierwszy Zjazd Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej pozaszkolnej, zawodowo pracującej. Przeszło sześćdziesiąt Stowarzyszeń liczy już młody Związek wileński, organizowany na wzór Poznania. Przeszło pięćset uczestników i uczestniczek brało udział w Zjeździe. Ksiądz biskup djecezjalny, Michalkiewicz, święcił w Ostrej Bramie dwa sztandary: żeński i męski.

Obrady dwudniowe młodzieży w wypełnionej po brzegi sali uniwersyteckiej, zaznajomiły licznie zebranych przedstawicieli społeczeństwa, jak się pracuje z tą i nad tą młodzieżą. Dyrektor organizacji na całą Polskę, ks. dr. Biłko z Poznania, zaszczycił Zjazd swą obecnością, dając młodzieży bezcenne wskazówki dla jej życia ideowego i organizacyjnego.

Akademja w auli Kolumnowej Uniwersytetu ku uczczeniu świeżo zgasłego dziewięćdziesięcioletniego Władysława Mickiewicza, syna na-

szego wieszcza Adama, dała dużo emocjonalnych momentów, obok przedstawienia przez profesorów konkretnych zasług ostatniego świadka wielkiej epoki.

Tow. Przyjaciół Nauk na walnem dorocznem zebraniu w dwudziestym roku swej egzystencji, zdawało sprawę z swej działalności w ostatnim roku. Działalność ta w sprawozdawczym okresie była nieco zwężona, z racji cofniętych zasiłków rządowych na wydawnictwa naukowe wszystkich trzech oddziałów: humanistycznego, matematyczno-przyrodniczego i prawno-historycznego. Zawiązał się Komitet ratowniczy dla ocalenia tej naukowej placówki.

Plastycy wileńscy występują w pałacu reprezentacyjnym z wystawą obrazów, ujawniającą talenty młode, mające przyszłość, o ile nie popadną w modernistyczną manję.

Wystawa płócien naszych marynistów, urządzona przez Wileński Oddział Ligi Morskiej i Rzecznej pod nazwą „Nasze morze i rzeki“, skupiła w kilku dużych salonach oprócz ślicznych pejzażów morskich z naszego wybrzeża — modele okrętów, żaglowców, wyroby szkół morskich, dział marynarki wojennej, handlowej, dział rybołóstwa, dróg wodnych śródlądowych i sportu wodnego. Szczupłe to, jak ten skrawek wybrzeża naszego, ale drogie każdemu sercu. To też wystawa, trwająca od miesiąca ma ciągle zwiedzających, co się wpatrują we wzburzone fale Bałtyku, lub spokój wód zatoki Puckiej, z wielką prawdą uchwycony. Podziwialiśmy to w naturze zeszłego lata.

W teatrze po wyjeździe Reduty na objazd prowincji, królowała Halka dwuaktowa, czyli taka, jak ją pierwotnie napisał Moniuszko. Znawcy lubują się tą pierwszą kompozycją mistrza, którego żywot w wileńskich murach upłynął prawie cały. Pozatem berło w letnim teatrze dzierży operetka niezbyt drastyczna w tym roku.

Koncerty wileńskiej orkiestry symfonicznej skupiają na otwartem powietrzu w ogrodzie po-Bernardyńskim tłumy inteligentnej publiczności, zwłaszcza gdy występuje łącznie jaki skrzypek lub śpiewak. Burzą oklasków przyjmowano tenora Opery Warszawskiej, Gruszczyńskiego, przedewszystkiem arję „Śmiej się pajacu“.

Czyżby nam istotnie pozostawał tylko taki śmiech?...

Były jeszcze tradycyjne „wianki“ w wigilję św. Jana i korowody oświetlonych łodzi, sunące po Wilji. Ale na tę rzekę pada dziś cień grozy od stojących nad nią murów więziennych, gdzie za kratami siedzi od miesiąca czterech polskich generałów, broniących praworządności w pamiętne dni majowe.

Przeniknie tam czasem jaki kwiat lub książka, ale nie człowiek...

Pióro mi się na tem załamuje.

Władysława Życka.

Z Brzostowa.

„Cudze chwalicie swego nie znacie“.

Dużo się u nas mówi o konieczności racjonalnego wychowania młodzieży w duchu katolickim i narodowym. Świadomość tej konieczności coraz to bardziej przenika społeczeństwo polskie, bo tylko dobrze wychowana młodzież, to najlepsza rękojmia pomyślnego rozwoju i przyszłości dla każdego narodu. Jednakże równocześnie zauważa się brak zaufania w własne siły i nieprzepartą chęć oparcia się na wzorach obcych, zagranicznych — rzecz szkodliwa sama przez się, tem bardziej, gdy chodzi o sprawy wychowawcze, które wymagają szerokiego uwzględnienia psychiki narodowej. Grzeszymy wprost karygodną nieznajomością polskich urządzeń, polskiej inicjatywy; za mało też informujemy ogół o dziełach dokonywanych przez Polaków i to może jest powodem tego braku wiary w własne, twórcze siły, a przeceniania wartości obcych wzorów.

Mało znana jest długoletnia akcja wychowawcza ks. prob. Kazimierza Malińskiego z Poznania, prowadzona w duchu katolickim i narodowym na terenie młodzieży. Mało kto wie o istnieniu Letniska dla Młodzieży Szkół Średnich w Brzostowie, które założył ks. prob. Maliński i na ten cel poświęcił swój majątek. Dlatego też trzeba informować społeczeństwo o wszelkich twórczych poczynaniach jednostek, żeby wzbudzić zaufanie w własne siły oraz zachęcić w ten sposób do naśladownictwa.

Letnisko przeznaczone jest dla młodzieży poznańskich szkół średnich oraz dla studentów U. P. Przyjmuje się przedewszystkiem uczniów zdolnych, a nie mających możności wyjazdu na wieś, na bezpłatny czterolub ośmiotygodniowy pobyt.

Idealne warunki życia, zdrowa okolica, dobre i obfite odżywianie, racjonalny program wychowania fizycznego w myśl wskazówek lekarza, przyczyniają się do tego, że młodzież wyczerpana całoroczną pracą w najgorszych nieraz warunkach, znajduje w Brzostowie rzeczywisty wypoczynek i szybko odzyskuje nadwątlone siły.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że na tem polega istotna wartość tej placówki. Daleko głębiej i szerzej zakreślone są zadania letniska. Ma ono nie tylko charakter wypoczynkowy, ale przedewszystkiem charakter wychowawczy. Zbiorowe życie obozowe, oparte na zasadach harcerskich i odrodzeniowych, odpowiedni dobór zajęć i podział pracy sprawia, że uczestnicy sami czują się częścią jednego zbiorowego organizmu. Powoli dochodzą do przekonania, że istnieje wzajemna współzależność funkcjonalna między poszczególnemi częściami organizmu, że od skoordynowania działalności poszczególnych części i jednostek zależy sprawne funkcjonowanie całości. Uczą się również zapominać o sobie, a być tylko członkiem

zbiorowości. Są to nieraz pierwsze ofiary egoizmu jednostkowego dla dobra gromady. Z tego wynika, że letnisko jest niejako praktyczną szkołą wychowania społecznego. W parze z wychowaniem społecznem idzie celowe uświadamianie narodowe i religijne uczestników, oraz wytężona praca nad wytworzeniem nowego typu Polaka, pozbawionego tych wad narodowych, które przed wiekami przyczyniły się do utraty niepodległości, a obecnie, jak tego dowiodły wypadki majowe, ciągle jeszcze u nas pokutują.

Pracę wychowawczą w wysokiej mierze ułatwia stosowanie przyjętego w harcerstwie systemu zastępowego. Zastęp, jak samodzielna jednostka, jest tą najmniejszą komórką społeczną, w której się odbywają najprostsze procesy życia społecznego. Drużyna, to jednostka wyższego rzędu, obejmująca wszystkie zastępy, to już organizm złożony z szeregu komórek społecznych. Bodźcem do pracy i jej regulatorem — to system kreskowy. Udzielanie kresek wprowadza między poszczególne jednostki i zastępy czynnik rywalizacji. Oczywiście jedynie umiejętne stosowanie tego systemu jest warunkiem jego powodzenia, bo tylko szlachetna rywalizacja może być dodatnią w skutkach. Wspomnę jeszcze o kilku środkach pomocniczych, jakiemi są muzyka, śpiew i gawędy przy ognisku. Bez tych czynników nie można sobie wyobrazić zbiorowego życia. One to wprowadzają na letnisko jakiś wyższy, szlachetny nastrój, jakąś przecudną harmonję — a wrażliwe dusze chłopięce wszystko chciwie wchłaniają i w tej atmosferze kształcą się, urabiają i stają coraz to lepsze.

Położenie letniska na kresach zachodnich (pow. wyrzyski), w pobliżu granicy niemieckiej nadaje mu specjalne znaczenie i nakłada nań obowiązek wzmacniania i szerzenia polskości. Zadaniu temu czyni letnisko zadość, utrzymując żywy kontakt z ludnością miejscową, pracując społecznie w polskich stowarzyszeniach. Że praca ta daje już pewne wyniki o tem niech świadczy opinja Wojewody Poznańskiego p. hr. A. Bnińskiego, który w czasie objazdu kresów zachodnich, dnia 10.VII. 23 r. stwierdził, że „Brzostowo odgrywa już dziś poważną rolę, jako niezmiernie pożyteczna placówka narodowa na kresach“.

Kierownictwo letniska spoczywa w rękach członków środowiska poznańskiego „Odrodzenia“, którzy już od szeregu lat prowadzą tę pracę w duchu katolickim i narodowym. Prowadzenie tej placówki przez „Odrodzenie“ jest tem bardziej godne uwagi, że z niej wyjdą przyszli pionierzy ruchu odrodzeniowego, którzy wychowani przez szereg lat w karności społecznej, poczuciu autorytetu i poszanowania władzy, rozumienia konieczności pracy, ożywią ruch odrodzeniowy i wprowadzą do niego nowe pozytywne wartości.

Praca na letnisku nie jest dorywcza ani obliczona tylko na okres wakacyjny. I w ciągu roku członkowie kierownictwa oraz starsi uczestni-

cy letniska schodzą się u ks. prob. K. Malińskiego na zebrania towarzyskie i tam wypracowują plany przyszłej pracy.

A teraz nieco o rozwoju tej instytucji. Letnisko założył ks. prob. K. Maliński w r. 1921, wykupiwszy z rąk niemieckich majętność Brzostowo pod Miasteczkiem w pow. Wyrzyskim. W roku 1921 korzystało z letniska 21 osób, w r. 1922 — 38, 1923 r. — 50, 1924 r. — 82, 1925 r. — 121. W bieżącym roku liczba uczestników znowu się zwiększy, a pomimo to nie można było uwzględnić około 100 zgłoszeń.

Jak z powyższych liczb wynika, rozmach młodej instytucji, zasilanej wyłącznie z osobistych funduszów ks. prob. Malińskiego jest wielki i daje rękojmię świetnego rozwoju. Życzyćby sobie należało, żeby patrjotyczny czyn czcigodnego kapłana nie tylko spotkał się z uznaniem, ale przedewszystkiem znalazł naśladowców. Pamiętajmy, że w zdrowej i społecznie wychowanej młodzieży leży przyszłość Polski.

Henryk Kucnerowicz.

BIULETYN.

„TYDZIEŃ SPOŁECZNY“.

Tegoroczny, V-ty z rzędu „Tydzień Społeczny Odrodzenia“ odbędzie się w dniach 19 — 26 sierpnia w Lublinie na Uniwersytecie. Odnawiając dawną tradycję, zjedzie się brać Odrodzeniowa z całej Polski, by rzetelnie pracować nad pogłębieniem światopoglądu, nie gardząc weselem. Kurs tegoroczny zapowiada się pod względem doboru referatów nader poważnie. Oto ich wykaz:

1. Chrystus a idea odrodzenia ludzkości — Ks. Dr. Kruszyński.
2. Chrystus Pan Królem — O. Urban T. J.
3. Modlitwa indywidualna i społeczna— Ks. Korniłowicz.
4. Nasza polityka gospodarcza i społeczna w świetle nauk św. Tomasza z Akwinu — Prof. Caro.
5. Znaczenie rewolucji komunistycznej dla cywilizacji współczesnej — Ks. Dr. A. Szymański.
6. Charakterystyka warstw społecznych w Polsce — Poseł T. Błażejewicz.
7. Problem demokracji — Prof. J. Makarewicz.
8. Kryzys parlamentaryzmu — Poseł W. Bitner.
9. O typ pracownika społecznego — Poseł T. Błażejewicz.
10. Katolickie postulaty przy kodyfikacji prawa małżeńskiego — Ks. Dr. Mirek.
11. Małżeństwo jako podstawa cywilizacji społeczeństw — Ks. Prof. Al. Wóycicki.

Na kursie nie będzie obecnym, z powodu wyjazdu z kraju, O. Jacek Woroniecki, co prawdziwym żalem nas napeł-

nia, gdyż nie było dotąd kursu, na którym by O. Jacek nie kierował naszemi pracami, biorąc udział we wszystkich zebraniach. Natomiast będzie przez cały czas kursu kol. W. Lewandowicz, bawiący na wywczasach w kraju.

Zjazd Komitetu Wykonawczego „Odrodzenia“ odbył się w dn. 17 i 18 kwietnia w Warszawie, przy licznym udziale członków i gości. Po dwudniowych obradach, które wykazały stały rozwój ruchu odrodzeniowego na szeregu odcinków, uchwalono następujące rezolucje:

1. Zarząd każdego środowiska obowiązany jest prowadzić stałą kronikę w formie dziennika całego życia organizacyjnego, celem utrwalenia historji samego koła.

2. Do obowiązków członka organizacji należy, by był stałym odbiorcą „Prądu“.

3. Środowiska winny co kwartał przysyłać listy imienne członków-prenumeratorów „Prądu“, oraz tych członków, którzy kupują stale „Prąd“, jako też tych, którzy biorą na kredyt.

4. W każdem środowisku winien być przedstawiciel redakcji, który jest obowiązany zdobywać nowych współpracowników dla „Prądu“.

5. W każdem środowisku odbywać się winny co miesiąc zebrania „Prądowe“, poświęcone omawianiu treści ostatniego numeru.

6. Środowiska winny umieszczać sprawozdania w dostępnej sobie prasie o każdym numerze „Prądu“, zamieszczone zaś wzmianki odsyłać redakcji.

7. Środowiska winny dołożyć starań, by księgarnie trzymały u siebie „Prąd“.

8. W roku bieżącym zostaje wprowadzona opłata za kurs lubelski w wysokości 20 zł. od uczestnika. Środowiska winny conajmniej 50% opłat za członków jadących wpłacić Prezydjum Komitetu Wykonawczego przed dn. 1.VII r. b., resztę w pierwszym dniu kursu.

LWÓW. W ciągu roku odbyło się 10 zebrań dyskusyjnych, przy frekwencji przeciętnej ponad 40 osób. Prócz tego odbyło się kilka zebrań członkowskich i Prądowych. Z sekcji pracuje:

1) Narodowa, która omawia dzieło R. Dmowskiego p. t. „Polityka Polska i Odbudowanie Państwa“.

2) Fil.-religijna, która za podstawę prac wzięła książkę O. Jacka Woronieckiego, p. t. „Katolicka Etyka Wychowawcza“.

3) Sekcja społeczna, po zapoznaniu się z Enc. „Rerum Novarum“ i z pewnemi ogólnemi założeniami doktryny chrześc.-społ., przystąpiła do omawiania dzieła ks. Szymańskiego p. t. „Polityka Społeczna“.

4) Sekcja zagadnień kobiecych pogłębiała ideologję odrodzeniową w związku z dziełami jen. Zamoyskiej.

5) Sekcja liturgiczna, świeżo założona z inicjatywy środowiska, odbyła szereg zebrań, poruszając m. in. w żywych dyskusjach zagadnienia:

1) Jak rozumieć jedność w łonie Kościoła katolickiego?
2) Udział fizycznej strony człowieka w kulcie.
3) Czy istnieje różnica między religją a kultem religijnym.

Prócz tego na każde zebranie opracowywano w ujęciu liturgicznem bieżący okres roku kościelnego.

W pracy zewnętrznej wznowiono Stowarzyszenie Mł. Szkolnej „Ognisko“, gdzie Odrodzenie intensywnie pracuje. Prócz tego rozpoczęło pracę jedno Koło młodzieży żeńskiej.

Prowadzono 3 patronaty męskie i 3 żeńskie, przyczem członkowie stale wygłaszali tam referaty. Praca w towarzystwie Św. Wincentego à Paulo również

się rozwijała, aczkolwiek członkowie „Odrodzenia“ osobnego koła nie tworzyli.

„Odrodzenie“ czynnie pracowało na terenie akademickim, obsadzając swymi członkami liczne i odpowiedzialne stanowiska.

POZNAŃ. W ciągu roku odbyło się 6 zebrań dyskusyjnych, 2 członkowskie, 23 sekcyjne, przy znacznej frekwencji. Obok tego urządzono kurs społeczny, na którym mówili kol. Antoni Chaciński „Zagadnienia narodowe z punktu widzenia odrodzeniowego“ oraz „Ideologja Odrodzenia“; kol. St. Kaczorowski „Metody i akcja społeczna „Odrodzenia“, oraz „Kwestja żydowska w Polsce i jej współczesna faza“.

Pracowały następujące sekcje:

1) Filozoficzno - religijna pod kier. kol. Bzdęgi.

2) Sekcja narodowa pod kier. kol. Obszyńskiego, biorąc za podstawę pracy „Myśli nowoczesnego Polaka“.

3) Sekcja społeczna, pod kier. kol. Glemmy, omawiała szereg zagadnień teoretycznych.

4) Sekcja zagadnień kobiecych, pod kier. kol. Lipkowskiej, omawiała zagadnienia ideologji „Odrodzenia“ w stosunku do koleżanek.

5) Sekcję żydoznawczą prowadził kol. Żakowski (powstała na krótko przed końcem roku).

6) Koło kandydatów prowadził kol. Kucnerowicz.

Co pewien czas odbywano zebrania kierowników sekcji.

Praca społeczna rozwija się pomyślnie w Stow. Mł. Męskiej i Żeńskiej. Miarą jej intensywności jest liczba 32 referatów, wygłoszonych w III trymestrze przez kolegów oraz 13 przez koleżanki. Prócz tego odbywały się musztry, ćwiczenia, przechadzki, lekcje śpiewu, gimnastyki i t. p.

Kół szkolnych nie prowadzono, natomiast praca „Odrodzenia“ skupiała się w Brzostowie, maj. ks. Malińskiego, gdzie prowadzono, wzorem lat ubiegłych, kolonję młodzieży szkolnej, w myśl życzeń ks. prob. Malińskiego, aby na letnisku wyrabiały się nowe kadry Odrodzeńców.

Powstała również sekcja prasowa, która ma przygotować kolegów do pracy publicystycznej. Rozwijało się też życie towarzyskie.

Koło brało udział w życiu akademickiem, silnie manifestując swoje stanowisko w szeregu wypadków. Wydano dodatek nadzwyczajny „Prądu“ z powodu wypadków czerwcowych na uniwersytecie, by zamanifestować stanowisko stowarzyszenia.

KRAKÓW. Środowisko krakowskie urządziło w roku bieżącym prócz szeregu zebrań dyskusyjnych, dwa kursy społeczne: ideologiczny, oraz ściśle społeczny, a to głównie staraniem kol. Sopickiego, Turowicza i Włodarczyka. Obok tego odbyła się na uniwersytecie obchód Rerum Novarum, na którym mówili kol. Dr. Gręplowski i p. Rozmarynowicz.

Intensywnie pracowała sekcja pracy społecznej, pod kierownictwem kol. Dominika. Sekcję społeczną prowadzi kol. Włodarczyk, narodową — Szułdrzyński, zagadnień kobiecych — kol. Traczewska. Koleżanki biorą również udział w pracy społecznej, uczestniczyły w kursie urządzonym przez sekretarjat Stow. Mł. Żeńskiej. Sekcję prasową prowadzi kol. Sopicki, który jest równocześnie korespondentem „Prądu“. Odbyło się zebranie „Prądowe“.

Intensywnie się rozwija życie towarzyskie. Stan finansów koła z tego powodu jest zadawalający.

LUBLIN. Pracę w drugim trymestrze zakończyliśmy kursem ideologicznym. Trzeci trymestr ze względu na zbliżające się egzamina miał charakter

nieco odmienny; wprawdzie zebrania odbywały się zwykłym trybem, frekwencja jednak była mniejsza.

Urządzono 2 zebrania ogólne w maju i czerwcu. Sekcja filozoficzno-religijna zakończyła swe prace z końcem maja, wypełniwszy zupełnie swój program; ostatnie zebranie Sekcji Zagadnień Kobiecych odbyło się 8 b. m. Dotychczas pracuje Sekcja Prądowa, która czynności swe przerywa z dniem 28 b. m.; w czasie wakacji czynną będzie podsekcja propagandy „Prądu". Sekcja ta, zawiązana w marcu r. b. odbyła 8 zebrań dyskusyjnych na temat artykułów z „Prądu". Na zebraniach sekcji Prądowej powstała myśl założenia Koła liturgicznego; jakkolwiek Koło to nie zostało formalnie zawiązane, jednak dotychczas odbyło się 5 zebrań z referatami ks. prof. Korniłowicza; prawdopodobnie zaraz po wakacjach Koło zostanie ukonstytuowane i rozpocznie prace normalnie. Zaznaczyć wypada, iż myśl ta jest wynikiem dyskusji prowadzonych w Sekcji Prądowej, że znajduje wielu zwolenników nie tylko w Stowarzyszeniu, ale i wśród innych organizacji akademickich.

W b. m. nawiązano bliższy kontakt z Stowarzyszeniem Młodzieży Polskiej; od wakacji rozpocznie się wspólna praca. W tym celu w październiku r. b. zostanie urządzony Kurs Pracy Organizacyjnej, obecnie zaś członkowie zapoznają się z odpowiednią literaturą.

Prace bieżącego roku akad. zostały ukończone zebraniem ogólnem, na którem został wygłoszony referat dyskusyjny: „Jak najlepiej spędzić wakacje".

W czasie ferji czynne będą dwie komisje: Komitet Wakacyjny, który będzie załatwiał sprawy bieżące stowarzyszenia i Komisja Tygodnia Społecznego, która będzie współdziałać w pracy przygotowawczej do Tygodnia Społecznego. Propagandą Tygodnia na terenie Lublina zajmie się podsekcja Prądowa, czynna przez całe lato.

KRONIKA.

Międzynarodowa Organizacja Katolickiej Młodzieży Żeńskiej. 11 i 12 maja, międzynarodowa Unja Organizacji Kobiecych Kat., zgromadziła po raz pierwszy delegatki 22 Związków Młodzieży żeńskiej katolickiej dla utworzenia Sekcji Młodych.

Delegacje te reprezentowały 13 krajów: Austrję, Belgję, Czechosłowację, Morawję, Hiszpanję, Kanadę, Luxemburg, Francję, Niemcy, Polskę, Szwajcarję, Węgry, Włochy. Wspólna Komunja święta wszystkich delegatek, podczas uroczystej Mszy świętej, poprzedzającej posiedzenie, zaznaczyła odrazu z mocą jedność katolicką umysłów, serc i ducha, w jakim potoczą się obrady.

Zebranie otworzyła generalna przewodnicząca Unji Międzynarodowej P. F. Steenberghe-Eugerigh, która w imieniu starszych organizacji, wyraziła życzenie, by młodzież zjednoczyła się we wspólnej, na szeroką skalę zakrojonej pracy w służbie apostolskiej.

1-szy dzień poświęcony został znale-

zieniu formy współpracy, między Sekcją Młodzieży a Unją Międzynarodową.

Obrady dnia tego, dyskusje, które się wywiązały, uchwały jakie zapadły, dowiodły jasno konieczności współpracy dla zrealizowania w życiu międzynarodowem ideałów Chrystusowych.

W 2-im dniu opracowano wytyczne programu, na których sekcja młodych oprze swoją działalność.

Charakteryzowała obrady szczera wymiana myśli w atmosferze wzajemnego zaufania i wiary w twórczą moc katolickiego, zbiorowego czynu.

Po zakończeniu obrad organizacyjnych delegatki Stowarzyszeń Młodzieży zjednoczyły się we wspólnej modlitwie przed Przenajświętszym Sakramentem w Katedrze.

Młodzież Luksemburska, która wzięła na siebie całą zewnętrzną organizację Kongresu nie szczędząc trudu i zachodu, bardzo miłem przyjęciem pożegnała zebrane delegacje w klasztorze Św. Elżbiety.

Jego Ekscelencja X. Biskup Luxemburski Mommesch, zaznaczył swoje zainteresowanie i sympatję, przybyciem do klasztoru i serdecznemi słowami zwróconemi do wszystkich i do każdej z osobna z delegatek.

Depesze wysłane do Ojca Św. i do Jego Eminencji Kardynała Protektora Merry del Val, zapewniały Stolicę Apostolską o bezwzględnem posłuszeństwie i szczerem oddaniu młodzieży.

Przez tajne głosowanie 22 organizacji wybrany został tymczasowy Zarząd w osobach:

Przewodnicząca P. Krystyna de Hemptine — Belgja.

V. Przewodnicząca p. M. du Rostu — Francja.

Pięć członków zarządu (conseilleres):

p. Barrelli — Włochy;

p. Morratti — Włochy;

p. F. Mikola — Austrja;

p. H. Doria-Dernałowicz — Polska, (Warszawa, Koło Młodych Kat. Zw. P.).

p. Buczkowska — Niemcy;

Tymczasowy sekretarjat znajduje się w Belgji — Gandawa, rue des Baguettes Nr. 2.

Zjazd katolicki. W ostatnich dniach sierpnia r. b. odbędzie się pierwszy ogólnopolski Zjazd Katolicki w Warszawie.

Redaktor i wydawca **Antoni Chaciński.** Nakładem **M. Trippenbacha.**

Zakł. Graf. Prac. Druk., Sp. z ogr. odp., Warszawa, Nowy Świat 54, tel. 15-56.